Cena 8 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 6 października 1946 r. | Nr 39 (67)

Tadeusz Papier

WOJNA I ODBUDOWA

Ugory

Za Stopnicą leżą jeszcze tu i tam płaty ziemi nie zaoranej, niczyjej. Napół uschnięte zielska, splątane z drutem kolczastym, rosną na ukrytych minach. Małe te śmiertelne pola podchodzą nieraz pod wrotnie stodół. Jaki czas zejdzie, zanim pług zaorze te ziemie?

Między Białoborzem a Pieczonogami wiją się napół zasypane węże okopów. Odległość 50 metrów rozdzielała Niemców od żołnierzy radzieckich. Zrujnowana szosa przecina okopy: szosa wolności. Tędy przed dwoma laty toczyło się na zachód, na Stopnicę, Busko, Pinczów, niezliczone mrowie czołgów, piechoty, artylerii radzieckiej. Na te pola i na tę szosę w styczniu 1945 roku spadła parugodzinna ulewa pocisków armatnich. Nie było miejsca na polu, na które nie upadłby odłamek śmierci. Powietrze drżało wtedy od nieustannego huku i ziemia drżała. Wsie paliły się wokół, niebo było zasłane chmurami dymów. Tak rodził się nowy dzień.

Dziś zwolna odbudowują się wsie. Pośród zgliszcz bieleją, gdzie niegdzie nowe stodoły. Czasami kryte blachą. Ludzie mieszkają w ziemlankach i starych bunkrach. Zaczyna się od zabezpieczenia plonu i bydła. Człowiek może poczekać. Najpierw stodoła i stajnia, później dom. Dzieci rosną w tych piwnicach blade i anemiczne. Wielkimi oczami spoglądają na szosę, która prowadzi na Stopnicę. Przejeżdżają tędy samochody, traktory i wozy. Wiozą towary do spółdzielni, benzynę i ludzi. Ludzi z rodzinnej wsi, powracających z wielkich, dalekich miast, z Łodzi, Warszawy, Wrocławia. Za handlem, jak mówią na wsi. Za szabrem, jak mówią w mieście.

Dzieci patrzą się i dziwią. Samochody wciąż jadą i jadą. Dwa lata temu warkot motoru wzbudzał śmiertelny lęk i niepokój. Oznaczał nieszczęście. Przynosił śmierć. Dziś, gdy pod górę mietelską wspina się z trudem naładowany samochód i słychać ciężki jęk motoru — serce mimowoli przestaje bić. Ale już dzieci wylatują na dwór i radośnie krzyczą. Naprężenie opada. Przecież „tamto" minęło.

Stare i nowe życie

Na umarłych do niedawna polach rośnie życie. Wojsko po większej części rozminowało te tereny. Niektórzy chłopi sami oczyszczają ziemię ze zdradzieckich krążków i groźnych walców. Jaś Gronek ze Skrobaczowa leżał na brzuchu i cal za calem posuwał się naprzód, ostrożnie wysuwając ręce na zwiady. Cal za calem powiększał obszar swojego gruntu. Wyczutą minę odgrzebywał i wykręcał zapalnik. Potem kładł ją na boku. Teraz stary Gronek orze bezpiecznie ziemię, gromadzi materiał na nowy dom, a Jaś kończy wyższą szkołę budowy maszyn w Poznaniu. Będzie inżynierem.

Ale nie wszystko udało się rozminować. Pozostały jeszcze dzikie pola, na których rosną chwasty, splątane z drutem kolczastym. I są inne pola, na których również rosną chwasty. Ugory, dzikie ugory wloką się tu i tam jak dziady na odpust. To są pola tych, którzy wyjechali na zachód.

Z każdej wsi powiatu stopnickiego wyjechało parę osób na ziemie odzyskane. Wyjechali na nowe gospodarstwa, na nową ziemię. Ze wsi położonych na wschód od Stopnicy szła ta wędrówka chłopów za chlebem całymi rodzinami. Cóż było robić tu, na spalenisku. Jeśli było coś, co nazywało się kiedyś domem, zatykano doprawione drzwi kołkiem, ziemię oddawano gminie, żegnano się po raz ostatni. Na gospodarce opuszczonej gmina osaadzała nowego właściciela.

Lecz nie wszyscy wyrzekli się starej ziemi, niektórzy przemyślnie zostawili krewnych, lub przyjaciół. Przy ich pomocy chcą utrzymać dwie gospodarki. Jedną tu, na starowiźnie i drugą na Zachodzie. Ani krewny, ani przyjaciel ziemi nie dopilnuje. Nie ma sił na to. I stąd rodzą się ugory. Popatrzcie. Trzeba tylko wyjechać ze Stopnicy na Oleśnicę. Z jednej strony szosy widać niewielkie pólka, jeszcze nie rozminowane, groźne pustkowia, którędy tylko kot przebiegnie, a po drugiej w starannie uprawiane pola wrzynają się dzikie ugory, pastwiska bezimienne. Chłopi patrzą na te ugory, Hej, komu przypadnie ta ziemia urodzajna, na której rodzi się pszenica, buraki i cebula. Jan Gawroński zaciera ręce.

— Gdyby mi tylko gmina przyznała. Wiedziałbym co z tym robić.

Miasto i wieś

Stolicą tej ziemi jest Stopnica. Przedwojenna osada, z wójtem, a nie burmistrzem, jak chcieliby mieszkańcy, na czele. Lecz ze Stopnicy pozostały tylko gruzy. Ostatni, najbardziej na wschód wysunięty punkt oporu Niemców był szczególnie atakowany przez wojska radzieckie. Stopnica — maleńki fragment dzisiejszej zrujnowanej Warszawy.

Stopnica się podnosi. Na miejscu gruzów powstają domy, ale apteka mieści się w drewnianym baraku. Podnosi się i stopnickie. Jak dawniej odbywają się we wtorki cotygodnione targi. Place targowe, rynek zapchane są wozami. Przez cały dzień krzyżują się tu interesy chłopskie, dobija się targów, skupuje przedmioty domowego użytku. Stopnica odżywa. Maleńkie miasteczko żyje ze wsi. Sklepy, które powstają, bławatne, kolonialne, żelazne przeznaczone są głównie dla odbiorców wiejskich. Nawzajem wieś oddaje najważniejsze produkty miastu. Miasteczko i czterdzieści wsi — jedna organiczna całość tkwiąca w starej strukturze gospodarczej. Ale oto na wsi rodzi się nowy świat. Zwiastuje go warkot motorów, maszyny do młócenia, nowoczesne sieczkarnie, traktory. Czy świat ten nowy zmieni charakter miasteczka? Czy Stopnica zmartwychwstanie w nowej rzeczywistości jako **miasto**, do czego dąży od czasów ostatniego Piasta, czy też połączy się ze wsią i stanie się składnicą i punktem rozdzielczym wszystkich spółdzielni wiejskich? I czy wsie nie upodobnią się tak do miasta, że trudno będzie rozeznać, gdzie kończą się chałupy chłopskie, a zaczynają miejskie wille?

Motory

Tadeusz Kowalik orze. Dziwna to orka. Chmary dzieci stoją przy polu i podziwiają szybkość, składność i dokładność pracy traktora.

— Koniem by cały dzień orał.

— Patrz, jak rżnie ziemię.

Co za wygoda, co za rozkosz jechać na motorze, wdychać zapach benzyny zmieszanej z wonią czarnej ziemi. A za motorem jak dawniej chmury wron. Ho, ho, już konie się nie namęczą. Tadeusz namyśla się co robić z końmi. Opłaci się je trzymać? Sprzedać? Nie, jeszcze nie sprzeda. Stacji traktorowych jest zaledwie jedna w powiecie, w Busku. Trudno się doczekać kolejki. 600 zł. za zoranie jednego hektara ziemi, ale o ile szybciej i taniej niż końmi. W gminie Szczytniki jeden Kowalik orze traktorem. Inne gminy może szczęśliwsze. Traktorów, więcej traktorów na wieś!

Z podwórka Pawliny dobiega również urywany warkot motoru zmieszany z buczeniem maszyny do młócenia. Zdala przypomina ni to samochód, ni samolot. Buczenie raz wzmaga się, raz opada. Pszeniczna słoma chrzęści w potężnych szczękach maszyny. Dziewczęta nie mogą dać sobie rady z odbieraniem ziarna i słomy. A piegowaty, potężnie rozrośnięty Walek krzyczy: prędzej, prędzej. Maryśka rozpięta do koszuli, rozogniona tempem pracy, bez przerwy rzuca nowe snopki Walkowi, a ten pcha je w gardziej maszyny.

Cóż za różnica tempa pracy w porównaniu z żółwim kieratem ciągniętym przez konie. Któż teraz młóciłby kieratem, kto chwyci się za cepy! Na podwórku Pawliny stoją chłopi i zamawiają motor do siebie. Usmarowany Józef stoi przy maszynie, dolewa majestatycznie wody i spogląda na zegarek. Trzeba dobrze pilnować czasu. Godzina młocki kosztuje 25 kg. żyta, lub 20 kg. pszenicy. A za godzinę można omłócić 8 — 9 metrów. Jeden młocek potrzebowałby dobrze wywijać cepami przez 9 dni. I wziąłby za to wliczając wyżywienie około 3000 zł.; 25 kg. żyta kosztuje w Stopnicy 425 zł. I młóci się tylko godzinę. Pawlina obsłuży tym motorem parę wsi. Za motor zapłacił 25.000 zł. Przy sześciogodzinnym dniu pracy w przeciągu dziesięciu dni zwróci mu się cała kwota, wydana na maszynę. A następne tygodnie sypać będą grosz do własnej kieszeni, na potrzeby domu, gospodarstwa, na ropę, która w spółdzielni tak tania!

Niemal w każdej gminie jest dziś taki Pawlina, który jeździ z własnym motorem od stodoły do stodoły. Nie dawno przybył Pawlinie konkurent. Ha, ale tamten, przybysz z krańca powiatu, ma się jeszcze lepiej. Za motor nie zapłacił nic. Zdobyty — powie ktoś? Niech będzie zdobyty. Nie mam nic przeciwko temu. Kazimierz pojechał do brata na zachód i stamtąd przywiózł motor rozebrany na części i zapakowany w małych paczkach, jako „odpadki żelaza".

Więcej światła

Kiedy nad tą umęczoną i ukrzyżowaną mogiłami chłopów-patriotów ziemią zapadnie noc, wtedy w izbach zapalają się nikłe światełka świec i lampek naftowych. Czemuż tu nie ma elektryczności, któraby zastępowała słońce w nocy, a siłę koni i rąk ludzkich w dzień. Powiada się: najpierw rzucimy na wieś snopy światła, zmechanizujemy, uzbroimy w maszyny, a później będziemy mówić o podniesieniu kultury chłopa. Kiedy chłop ujmie w swe ręce kółko motoru zamiast lejców, wtedy sam przedstawi się w inny, nowoczesny, lepszy świat. Prawda i to, ale linie przenoszące energię elektryczną biegną daleko od tych wsi i trzeba albo lat czekać, albo rzetelnie zabrać się do roboty — aby elektryczność zawitała w te strony. Tymczasem ktoś tam próbuje montować własne światło — ustawia wiatrak na szczycie domu i z powietrza czerpie energię świetlną. W długie jesienne wieczory **nie czyta** jednak **nic**, ani przy tym swoim świetle, ani przy starej lampie naftowej, ani przy świeczce. **Nie czyta nikt.** Bo paru chłopów na gminę, nawet na gromadę prenumerujących pisma, to w dzisiejszej rzeczywistości znaczy nic.

I wtedy zjawia się tragiczne pytanie. Czy wieś, mimo rad narodowych, mimo rad powiatowych, bierze udział w życiu politycznym Polski, czy też stoi na uboczu. I co na to odpowiedzą prezesi Kół Gromadzkich Związku Samopomocy Chłopskiej, prezesi kół Stronnictwa Ludowego. Co odpowie prezes koła „Wici" w Strzałkowie, Szczytnikach, Pieczonogach, Strzelcach, Bydłowie, Mikułowicach. Dlaczego koło nie prenumeruje **żadnego pisma?** Jeśli jest związane z SL-em dlaczego **nie prenumeruje** jego „Dziennika Ludowego"? Jeśli z PSLem dlaczego **nie widać** tam „Gazety Ludowej"? A przecież niezależnie od przynależności partyjnej każde koło, każdy działacz ludowy winien znać winien mieć u siebie przynajmniej główniejsze pisma polityczne i społeczne, „Zielony Sztandar" i „Chłopski Sztandar", „Chłopów" i „Wici", „Wieś" i „Wieś i Państwo". Winien czytać, myśleć, porównywać. Pisma ludowe niezależnie od swojej wartości aktualnej, mają jeszcze w odróżnieniu od pism codziennych, wydawanych dziś przeważnie dla miasta, jedną osobliwą wartość. Nazwaćby ją można historyczną, dokumentarną. Możecie to sprawdzić na starych rocznikach „Wici", „Zielonego Sztandaru". Nie starzeją się, są zawsze żywe. **Są książkami o współczesnym życiu chłopskim**, książkami, które zarówno chłop, jak badacz naukowy przeczyta z ciekawością po tygodniu, miesiącu, roku i po dziesięciu latach.

Jest jednak w powiecie źródło światła, większe niż energia elektryczna: szkoła średnia, gimnazjum i liceum w Busku-Zdroju, mająca za sobą tak chlubną przeszłość konspiracyjną! I tam w tej szkole, w święto upaństwowienia jej, padły ze sceny uczniowskiej z ust aktora, syna chłopskiego, słowa — odnoszące się wprawdzie do rzeczywistości polskiej z przed wieku — ale jakże aktualne i dziś. Ów aktor powtarzał za filomatą:

„Jeśli obserwujemy nasze wsie i miasteczka, to przyznać mi musicie, że szkół mamy mało. Młodzież latem ugania za krowami zamiast się uczyć. Większość rolników związanych z PANAMI nie umie czytać, nie odczuwa słodyczy nauki, a to dlatego, bo nie zna słodyczy wolności. Myślę, że pismo będzie korzystne nie dla wszystkich, ale wyłącznie dla tych, którzy i tak czują i lepiej są oświeceni".

Lecz kiedy chłop uwolni się od pana, wówczas **„MAJĄCY INNY CEL PRZED OCZYMA, SWÓJ WŁASNY A NIE PAŃSKI, BĘDZIE MIAŁ CZAS PRZECZYTAĆ PISMO".**

Sala była natłoczona uczniami i gośćmi ze wsi: ojcami, matkami, przyjaciółmi i każdy słuchając, przyznawał rację. Pierwszy to raz chyba goście wiejscy byli na przedstawieniu urządzanym przez ich dzieci w mieście. Lecz gdy teraz po reformie rolnej, nie ma panów i nie ma zależności materialnej chłopa od pana — czy teraz nie znajduje się czasami chłop w zależności innej, głębszej i bardziej niebezpiecznej, zależności duchowej, moralnej. Czy naprawdę wyzwolił się, czy zna swoją słodycz wolności, czy ma swój cel przed oczami a nie pański?

Jeśli nie chce, lub nie ma czasu przeczytać swojego pisma, znaczy, że przed oczyma ma jeszcze **„cel pański"**.

Nadzieje

Motory i traktory zwiastują nowe życie. Lecz dziś jeszcze nie stanowią tego życia. Dowodzą tylko energii chłopa, energii pojedyńczego osobnika, ale nie zrzeszonego. Rośnie jednak młode pokolenie. Podczas, gdy przed wojną gimnazjum buskie liczyło niewiele uczni, dziś liczba ich dobiega tysiąca. W powiecie jest dwa takie gimnazja: w Busku i Staszowie, obsługujące owe miasteczka i młodzież okolicznych wsi. Nauka bezpłatna nęci chłopskich rodziców, jednakże drogie „życie" i wysokie opłaty miesięczne zrzeszenia rodzicielskiego są często przeszkodą do niepokonania.

Ale jakże nie posyłać tu dziecka do gimnazjum, kiedy nauczyciel ze szkoły powszechnej wydał Natalii Połetek z Kołaczkowic świadectwo o samych piątkach, a ona sama aż płacze za nauką. Więc matka pisze prośby do dyrekcji i do Zarządu Zrzeszenia, wnosi o zwolnienie z wszelkich opłat, bo 2 hektary ziemi nie wyżywią jej i córki, bo ojciec Jan Połetek został zamordowany w Oświęcimiu, bo córka Emilia, partyzant, zaginęła podczas walk w roku 1945...

I córka Natalia chodzi do gimnazjum. Co rano spotkać ją można z kałamarzem w ręku i książkami pod pachą. Jest jeszcze tą nieśmiałą dziewczynką ze wsi. Co wy-

rośnie z niej i setki koleżanek za lat pięć i dziesięć? Czy wtedy będzie już założona na wsi elektryczność i dom ludowy i bita szosa i izba chorych? Czy będzie spółdzielcza piekarnia, spółdzielcza stacja maszyn rolniczych?

Przed wojną gmina Szczytniki, skąd pochodzi Natalia, wydała 3 studentów wyższych uczelni. Dziś z tej gminy studiuje na uniwersytecie 9 chłopów, w gimnazjum są przedstawiciele niemal każdej wsi. Jeszcze to mało, ale ruch zapoczątkowany podczas konspiracji rozszerza się i rozpala coraz większe szeregi młodzieży chłopskiej. Może już niedługo sołtysem w gromadzie będzie chłop po maturze?

Przed świtem

Dnie stają się coraz krótsze, czasami niebo zasłoni się chmurami, jak niedawno chmurami dymu palonych wsi, i z góry siąpie zły, zimny deszcz. Nastają dnie kopania, orki i siewu. Hej, kto nie dopilnuje teraz tej roboty, napróżno będzie szukał na przyszły rok chleba. Jest to najważniejszy okres pracy rolnika. Szafrańcowa z Grabdy wysłała swoje dzieci do Buska do gimnazjum, a sama, chora, z owiniętą nogą, kopie ziemniaki. Doktor kazał jej leżeć w łóżku, każdy ruch wzmaga cierpienie, ale gdyby tak nakopać całą górę ziemniaków, żeby do piwnicy się nie zmieściły, żeby można niemi zapełnić parę długich kopcy! I Szafrańcowa myśli, że jutro jest niedziela, więc trzeba zrana skoczyć do Buska i zanieść dzieciom bochen świeżego chleba, może jaj trochę, masła...

Ludzie się śpieszą, kopią i kopią. Dziewczęta pochylone do ziemi ukazują smukłe nogi. Wszystkie kopią w jednym rzędzie, jakby nie było zmęczenia na ziemi. Kiedy ktoś przechodzi, przystają i odprowadzają oczami. Kto to taki, nieznany? Może handlarz owoców?

Bo teraz jesień i pieniądze potrzebne w chałupie. A na wieś jak przed wojną, spadają różnego rodzaju pośrednicy. Skupują zapasy owoców, później zboże, później świnie. Kupują za marne pieniądze, za kilogram jabłek płacą po 15—20 złotych, sprzedają w mieście za drugie tyle, a robotnik odkupuje już z trzecich rąk za poczwórną cenę. I czy czasy się zmieniły? Czy rewolucja już się dokonała?

Gdyby tak spółdzielnie na wsi! Gdyby tak Maryśka Szafrańcówna, która dzielnie spisuje się przy maszynie do młócenia, a tęskni za pracą w sklepie, mogła znaleźć się za stołem wiejskiej spółdzielni: ważyć, sprzedawać, kupować. Ileż by to było radości w jej oczach i ustach!

Prawda — są spółdzielnie! Niechże się tylko rozwiną! W Kołaczkowicach i dziesiątkach innych wsi istnieją spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. I to napawa otuchą. Wieczorami schodzą się tam chłopi. Kurzą papierosy ze „swojskich" liści i rozprawiają. Późno w noc idą rozmowy o sprawach wsi i świata. O Francji, Ameryce, Rosji. Dopóki mowa o wsi grunt jest mocny i pewny. Kiedy myśli wybiegają w daleki świat, żeglują po nieznanym morzu niepewności. Nie ma radia, nie ma gazety. Na czymże oprzeć wiadomości, które z niewiadomego źródła dotarły na wieś? Noc na wsi jest czarna i nie rozjaśnia jej ani lampa elektryczna, ani książka, ani gazeta.

Tadeusz Papier

Stefan Baścik

PRZEBIEG STUDIÓW AKADEMICKIEJ MŁODZIEŻY CHŁOPSKIEJ

Warunki materialne — i zdaje się one wyłącznie — wywierają też silne piętno na przebieg studiów młodzieży chłopskiej. Że mimo fatalnych nieraz warunków młodzież chłopska kończy studia wyższe i kończy je nieraz stosunkowo szybko, to zawdzięcza to w dużym stopniu zdrowym nerwom, silnej woli, przyzwyczajeniu do biedy i trudu i temu przysłowiowemu uporowi chłopskiemu. Pomaga jej w tym niemało jej uzdolnienie. Chłop bowiem wysyła na studia przeważnie najzdolniejszego syna, na którego uwagę zwrócił nauczyciel dzięki specjalnej skłonności do książek, pilności, dobrej pamięci itp. Mniej zdolni pozostają na gospodarstwie lub idą do terminu. Chłopca, który nie daje sobie rady w szkole, odbiera się najczęściej z powrotem. Pomoc w formie korepetycji jest na wsi prawie że nieznana. Przeciwnie, przy fatalnych nieraz warunkach żywnościowych, higienicznych itd. chłopiec ze wsi już w szkole średniej musi nieraz utrzymywać się sam przez udzielanie lekcyj, przy przez inne dorywcze zarobki.

Do studiów wyższych dochodzi też element najbardziej zdolny, wytrzymały, najbardziej ekspansywny, pracowity i ambitny.

Taką też jest na ogół młodzież chłopska na U. J. Trafiające się czasem wśród młodzieży chłopskiej na wyższych uczelniach jednostki o miernych zdolnościach nie mogą zmienić tego stanu rzeczy. Są to tylko wyjątki.

Bezsprzecznie czynnik ekonomiczny jest bardzo ważkim sitem selekcyjnym. Na studia wyższe idzie młodzież chłopska z zamożniejszych rodzin. Ale właśnie te rodziny na wsi wykazują wyższą inteligencję,większą rzutkość, energię i dążność do awansu społecznego, i dzięki tym właśnie cechom doszły one do względnie większej zamożności.

Że młodzież ta na studiach nie zawsze się wybija na pierwsze miejsca, to rzecz całkiem zrozumiała. Ciężkie warunki, złe odżywianie muszą osłabić zdolność do większych wysiłków. Drogi czas poświęca się w lwiej części na źle płatne lekcje lub inne zarobki.

Warunki te wpływają już na opóźnienie w studiach jeszcze przed wstąpieniem na uniwersytet. Należeć tu więc będą najpierw opóźnienia z lat gimnazjalnych. Młodzież chłopska dojeżdżając przeważnie do miasta uczelnianego, w którym znajduje się gimnazjum, zmuszona była od 10-go czy 11-go roku życia wstawać o 5-tej czy o 6-tej godzinie rano, by później po półgodzinnym czy dłuższym marszu dostać się do dworca kolejowego. Stamtąd następowała znów pół czy jednogodzinna jazda do miasta, by tam z dworca kolejowego po kilkunastuminutowym marszu dostać się wreszcie do gmachu szkolnego. Na tym jeszcze nie koniec. Tu znów trzeba często czekać pół godziny i więcej zanim rozpocznie się nauka.

Po pięcio- czy sześciogodzinnym pobycie w szkole zaczyna się skomplikowany powrót do domu: dojście do dworca, czekanie na pociąg, jazda pociągiem, marsz, by wreszcie o godzinie 3-ciej, 4-tej, czy nawet 5-tej zmęczony i znużony dostać się do domu. Tu następuje „obiad", zwyczajnie już zimny, którego podstawowym artykułem spożywczym są ziemniaki (mięso na obiad na wsi — o ile jest — to przeważnie wyłącznie w niedzielę). Następnie krótki odpoczynek, gdyż zaraz trzeba zabrać się do odrabiania lekcyj, bo zbliża się wieczór, a trzeba wcześniej położyć się spać, gdyż znów o 5-tej itd. Nie zawsze się to jednak udaje, bo czasu do nauki pozostaje czasem zaledwie 2 czy 3 godziny. Często też wokoło w domu panuje zupełna cisza, słychać tylko miarowe oddechy śpiących, a młody student siedzi schylony nad książką i opędza się od snu. Nic dziwnego, że rano odczuwa się ból głowy. Przepracowany mózg nie może sprawnie pracować. Wszystko to bowiem nie wiele ma wspólnego z higieną życia i jest do wytrzymania na pewien czas tylko przy odpowiednich warunkach życia.

Warunki te u młodzieży chłopskiej są jednak przeważnie fatalne. Wspomniałem już trochę o odżywieniu. Od godziny często szóstej rano młody gimnazjalista ze wsi nie zje nic pożywniejszego aż do powrotu do domu. W gimnazjum czysta herbata u tercjana z suchą bułką jest całym posiłkiem. W domu odżywienie — jak na wsi — jest stanowczo niewystarczające.

Znaczna odległość od gimnazjum i związany z tym dłuższy czas podróży mógłby w pewnym stopniu złagodzić odpowiedni ubiór. Pod tym jednak względem jest całkiem źle. Młodzież wiejska posiada zwykle jedno ubranie, jeden płaszcz zimowy i jedne buty. Stan tego kompletu przedstawia się nieraz tragicznie. W wypadku np. słoty buty często są przemokłe, jak i ubranie z powodu braku odpowiedniego wierzchniego nakrycia, jak płaszcz nieprzemakalny, zarzutka i t. p. W takim przemokłym ubraniu biedny gimnazjalista musi przebyć kilka godzin — aż do powrotu do domu. W okresie zimowym brak ciepłej bielizny i odpowiednich butów powoduje częste przeziębienia.

Warunki w domu też pozostawiają dużo do życzenia. Nie zawsze jest drugi pokój, a jeżeli jest, to nieopalony. Lekcje odrabia się przeważnie w kuchni przy gwarze licznej rodziny, przy kiepskim oświetleniu. To ostatnie ma następstwa w formie chorób oczu.

Obraz powyższy wygląda może na zbyt przejaskrawiony — niestety oparty jest na bezpośrednich obserwacjach tej młodzieży w latach gimnazjalnych — a był to okres „dobrej koniunktury'.

Nic też dziwnego, że poza innymi poważniejszymi konsekwencjami, młodzież wiejska opóźnia się w studiach gimnazjalnych.

Brak na wsi szkół powszechnych wyżej zorganizowanych miał niewątpliwie duży wpływ na opóźnienie w studiach młodzieży chłopskiej.

Młodzież chłopska, która wstępuje do gimnazjum po pierwszej wojnie światowej kończy studia gimnazjalne w okresie rozpoczynającego się kryzysu gospodarczego. Powoduje to przerwanie studiów przez znaczną część młodzieży wiejskiej. Po kilkuletniej nieraz przerwie pewien odsetek tej młodzieży próbuje swoich sił i zapisuje się na uniwersytet ze znacznym już nieraz opóźnieniem.

Opóźnienie to rzucało się w oczy przy przeglądaniu kart wpisowych. Dało się również wyraźnie zauważyć przy odpowiedziach na ankietę.

Jak wynika z przeprowadzonej ankiety młodzież chłopska wstępuje na uniwersytet przeważnie ze znacznym opóźnieniem. Przeważają pod tym względem opóźnienia od 2 do 5 lat.

Opóźnienie to na skutek trudnych warunków pogłębia się dalej w ciągu studiów wyższych.

Jako przyczyny opóźnienia w studiach podają w ankiecie sami studenci:

1. warunki materialne (brak pieniędzy) 9 wypowiedzi;
2. warunki zdrowotne — 5 wypowiedzi;
3. praca zarobkowa — posada — 5 wypowiedzi;
4. wojsko (służba wojskowa) — 3 wypowiedzi;
5. inne — 2 wypowiedzi.

(Uwaga: Wypowiedzi nie dotyczą studentów teologii, których nie wzięto tu pod uwagę ze względu na specyficzne warunki studiów).

Na 30 studentów odpowiadających na ankietę, na pytanie powyższe odpowiedziało 15 osób. Niektórzy podają kilka przyczyn. Najczęstszą przyczyną opóźnienia w studiach są warunki materialne studenta podczas studiów uniwersyteckich względnie brak funduszów na rozpoczęcie tychże studiów — 9 wypadków na 15.

Następna przyczyna — wynikająca przeważnie z tej pierwszej — jest stan zdrowotny.

Później niektórzy wyszczególniają pracę zarobkową, chociaż przeważnie pomijano ją w wypowiedziach, podciągając ją pod warunki materialne.

Przytoczmy niektóre wypowiedzi odnośnie tego zagadnienia:

„Przed zapisaniem się na uniwersytet — 2 lata próżnowałem z powodów finansowych, a 1 rok z powodu przymusowego leczenia gruźlicy" (ank. 3).

„Brak odpowiedniego kierownictwa i trudności materialne i lokalne' (ank. 41).

„Egzaminu nie zdawałem — pisze J. P. w pamiętniku — a raczej odstąpiłem w czasie egzaminu. Byłem chory, zdenerwowany, no a do tego przyczyniło się to, że w ostatnim dniu zapłaciłem taksę, a także skutki blokady".

Wpływ warunków materialnych na przebieg studiów jest zresztą na ogół znany i wszechstronnie zbadany. Oto np. takie zestawienie, ilustrujące to zjawisko selekcji natury ekonomicznej:

R. szk. 1928/29: na 100 studentów I r. 30 zamożnych, 50 ubogich;

na 100 studentów II r. 22 zamożnych, 20 ubogich;

na 100 studentów III r. 23 zamożnych, 16 ubogich;

na 100 studentów IV r. 25 zamożnych, 8 ubogich.

(Wykłady Prof. K. Dobrowolskiego w r. 1936/7).

Wpływ ten stwierdza również Prof. Bystroń w dziele „Szkoła i społeczeństwo". Pisze on: „Postępy dzieci z rodzin nędzarzy są na ogół daleko niższe od rezultatów, osiąganych przez innych uczniów. Podobnie odpada też młodzież uboższa w czasie studiów uniwersyteckich... Okazuje się, że ze studentów zamożniejszych prawie wszyscy kończą studia, podczas gdy wśród ubogich zaledwie jeden na siedem dochodzi na 4-ty rok (prawa). Ubożsi też dochodzą normalnie do studiów wyższych z opóźnieniem; tak więc wśród studentów znajdujących się we właściwym wieku studiów, więcej niż połowa (56 proc.) — to synowie inteligencji zawodowej, podczas kiedy synowie chłopscy dają tu zaledwie 7 proc. W wyższych klasach wieku liczba synów warstw posiadających i inteligencji zawodowej maleje, zwiększa się natomiast udział proletariatu miejskiego i wiejskiego z nierównie większymi przeszkodami dochodzący do wyższych szczebli nauczania... Najwcześniej awansują w studiach synowie urzędników państwowych, potem urzędników prywatnych, właścicieli dóbr i realności, kupców i przemysłowców, następnie dopiero robotników, rolników i służby, wkońcu synowie wdów. Zależność dostępu szkolnego od stanu majątkowego jest tu bardzo ważna".

A. F. KIRŁO NOWACZYK

U płota

W szumie spłoszonych kuropatw
zamarło odległe echo...
wiatr górą poszedł i opadł
miękko jak gołąb nad strzechą...

Skrzyknęły się zewsząd szpaki
makówkom oczka wykuwać —
cisnęła Maryś chodakiem,
na płocie utkwił i... czuwał...

JAN MARIA GIZGES

Siewca

Bo jest dla mnie ziemia — zagonami
i ja tylko dla niej jestem.
Krzepką dłonią, najwspanialszym gestem
łączę horyzont ze skibami.
I czapkę zdejmuję w pokłonie
chwilom ostatniego nawrotu.
Siejbą kolistych obrotów
ziarnem wiruję w dnia ogromie.

W OSTATNIM 38 (66) NUMERZE „WSI"
z dnia 29 września 1946:

Teodor Goździkiewicz — **Ziemia pracy i krasy**; Stanisław Turczyn — **Wyrok**; Władysław Leszczyński — **Migawki dolnośląskie**; Jacek Bocheński — **Gawęda z kosiarzem**; Adolf Olechnowicz — **Duńska droga**; Stanisław Paleczny — **Przebojem**; Tadeusz Kajkowski — **Modlitwa poległych**; Józef Bieniek — **O właściwy kolor honoru chłopskiego**; Marian Dąbrowa — **Nauczyciel w odmęcie wojny**; Zygmunt Kałużyński — **Czy nowe drogi prasy ludowej?**; Stefan Lichański — **Poeci śląscy**; Leonard Sobieraiski — **O nowym człowieku**; Stanisław Stefan Gębala — **Jesień**; Jan Marszałek — **Teatr na wsi**; 3 ilustracje — komunikaty; 8 stron.

Stanisław Skoneczny

W I E R S Z E

Pachnie rumianek

Na kamieniach i murach szukały ciekawe
blaski drzew, zachodzących barwy nieba krwawej
i opadały liśćmi na bruk lśniący deszczem
i wieczory pachnące czerwcem, trawnikami parku
i grające na przedmieściu w bzach nóżkami świerszczy,
kiedy gasły robaczków świętojańskich latarki.

Nie mówmy ludziom sytym jak pachnie rumianek
zerwany, rosy pełny jak majowy ranek.
Oni zbledną, słów się zlękną i zatrzasną
drzwi na siedem spustów i wtedy usną pewnie,
gdy ścigani, szukani, ranni odejdą w noc jasną
od ich domów głuchych jak pęknięte drewno.

przez ścieżyny zarosłe tarniną i głogiem
wiodą wichry i deszcze słotnej nocy wyprawy.
Na topolach się jarzą gwiazdy albo ogień,
poświst kuli odrywa świtu gałąź mglawą,
co szeleści od północy, a której nie widać
nad trupem zabitego przez żandarmów Żyda.

Nie szepczą dziewanny macierzance i gruszom,
gdy żyta szeleszczą marszem pochylonych cieni,
jakie gniazdo uwiły makolągwy. Prósząc
odłamki nieba idą obłoki na spotkanie jesieni,
która zakwitnie w krzyku kani, lub w modlitwie
nad rzeką czarną wśród zielonej łąki
jarzębiną płotów, kiedy zmilkną bitwy,
a podniosą z miedz śpiewające skowronki.

Na kalinach i dębach osiada sosnowe igliwie.
po polach sypie śnieg i przykrywa żyto.
Zza wzgórza wypływa jeszcze dym siwy
ze zgliszcz spalonej z ludźmi wsi. O nazwę jej nie pyta
wiatr mrozu, który skrzypi pod nogami biegnących.
Księżyc cienie goni. Uciekają zające.

Od wsi do wsi, od lasu do lasu rozpina
dzień pogodę, która opadnie burzą albo głogiem.
Nad brzegiem tej rzeki śmierć niemiecka na minach
rozpali mroźnym styczniem z armatnich pocisków ogień.
Niebo opada jak jabłko po gałęziach wiatru.
Zatrzaśnięte na siedem spustów są drzwi wysokich domów
przed ściganym, rannym, głodnym i chorym.
Rdzewieją w lesie broni żelazne złomy.



Stanisław Skoneczny

Poemat wojenny

Już ostatnie działo zamilkło kwileniem słomki
nad ziemią, która dymi mgłą na polach wymarłych.
Położyłem karabin na brzegu nadrzecznej łąki.
Dlaczego te drzewa kule z kory zupełnie obdarły?

Drzewa białe jak krwawnik na miedzach zielonych
przytulały kobiety do rozgrzanych piersi
w snach dusznych. Tylko jęki tłumione
wydzierały się dziewczynom w trawie po raz pierwszy.
Niemcy chłopców nauczyli bez trudu umierać.
Śpiewały dzieci wśród gąsiąt żółtych jak mlecze
piosenki zasłyszane od pijanych ojców, śpiewane nieraz,
a później o rozszumiałych wierzbach i mieczach.

Wiatr drzewami powiewa jak flagą i szumi,
na grobach bohaterów ognie się palą
żałoby... łatwo jest wojnę w Warszawie zrozumieć.

O rozstrzelanych

1

Kurzyło słońce nad wysoką trawą
dmuchawcami w przypływie obłoków i ciszy.
narastały drzewa w porankach sinawych
na błękit, który w widnokręgu przysiadł.

Przez pola chylące się zbożem nad drogi
szedł skwar i woda w płytkich nikła studniach,
opadał cień zwiędły rozkwitniętych głogów
pod kopyta koni w rozgrzane południe.

Pelargonie pachniały w drobnych szybach okien
domów, które drzemały pod murami fabryk
płynęły dni przedmieścia na białych obłokach,
jaskółki w tęczy dymów i wschodów jak chabry.

Kiedy białe topole klękały nad wodę
opowiadał zmierzchom czerwony już zachód
o ciężkich hukach dział, co zapala piachy
przedtem malowane skrzydłami rybitwy
pod stopami kobiety nagiej i młodej,
gdy wybiegnie za próg przestraszona bitwą.

Nad rzekę schodziły po rosie dziewanny,
a z lasu wychodziły w gałęziach jelenie.
Zapatrzyły się w słońce posmutniałe panny.
Krzyk kani deszczem padał, to ruchomym cieniem.

Czy wiedziały, że będą domy i kościoły
padać w huku bomb, gdy gwiazdy pogasną?
Krzak tarniny kulami drobne świerszcze wołał
w noce nad miastem od nalotów jasne.

2

Całowały dziewczęta zroszone liście i igliwie,
podnosiły ramiona w trzepocie włosów długich
i płakały później, kiedy dzień posiwiał –
Niemcy rozstrzelali młodych pod ścianą szarugi.

Jak łamana gałąź gruszy nocne niebo trzeszczy,
płyną upiorne westchnienia i opada łomot.
Biały bez obsycha na skrzydłach małych świerszczy
Zapachniał zachód macierzanki zgniecionej wonią

List z Łodzi

Kołysały gałęzie wiatr ostrożnie do zmroku,
a czerwony widnokrąg słońce zrywał i bladł.
Pluskiem skrzydełek gawronich szeleściły wysoko
poczerniałe obłoki gnane ciszą od dnia.

Nie uciekły drogami w szumie wiśni i topól,
nie ukryły zmęczenia oczu moich w śnie.
Czujny księżyc gwiazdy ciągle węszył i tropił
w trawach zimnych wieczorów i wysokich mgieł.

Kiedy z lasu szedłem późno ścieżką do ciebie
wśród opłotków dojrzewał zaczajony strzał.
Wiatr dmuchał w reflektory przygasłe na niebie
i cicho jak szloch dziecka nad miedzami trwał.

Co ważniejsze jest dzisiaj: życie moje czy deszcz?
Dół zarosły przy drodze mógłby mówić krzakom,
że zabity na wiosnę został człowiek jakiś
przez niemieckich żandarmów, kiedy kwitł już bez.

Rano za twym oknem złoty poszum żyta
mokre śliwy naginał na sąsiada sad,
wracałem w siwej rosie i dzień mnie nie pytał,
gdzie szedłem polem, gdy koń gniady rżał.

Drzewa wolno się wlokły jesienne i siwej
nocy łatwo było na nieboskłon wejść.
Mgły gnały jak gęsi na rozmokłych niwach,
gdy księżyc już jeżył chmur wilgotną sierść.

Pewnie co dzień wychodzisz przed chatę o zmroku.
Wiatr zaczepił się w śliwie o złamany sęk.
Próżno patrzysz na drogę. Lecą gwiazdy z wysoka,
gdy cię ze snu budzi o mnie dawny lęk.

Henryk Hahn

Na Opolszczyźnie

Ziemia, która 700 lat była oderwana od pnia macierzystego wymaga trzeźwego spojrzenia. Ta trzeźwa obserwacja życia i człowieka na ziemi opolskiej mieszkającego uczy tej prawdy, że program wychowawczy musi być inny od programów u. l. w Polsce centralnej.

Jeżeli uniwersytety ludowe w Polsce centralnej mogą sobie postawić jako cel ostateczny ,rozwój osobowości, to u. l. na Opolszczyźnie stawiają sobie skromniejsze: nauczyć po polsku pisać, czytać i mówić. Postawcie sto ankiet i tysiąc zapytań — odpowiedź będzie jedna i ta sama — chcemy się nauczyć mowy polskiej w mowie i piśmie. Było też u nas dlatego na 45 godzin zajęć tygodniowych 15 godzin języka polskiego. Słuchacze dodali sobie ponad to 6 godzin tygodniowo przepisywania dobrowolnie, skracając w ten sposób swój wolny czas. W tym prostym fakcie tkwi problem. Trzeba odrobić w ciągu 3 miesięcy kursu 700 lat sieroctwa, a przynajmniej 200 lat systematycznej i konsekwentnej polityki germanizacyjnej na Śląsku .

uwierzycie, że kurs to poważnie odrobił. Przeglądajcie zeszyty, kronikę, gazetki kursowe i referaty. Był to wynik zawziętej i wytrwałej pracy słuchaczy. Obserwowaliśmy u młodzieży nieprzeparte pragnienie nauczenia się poprawnego języka polskiego.

Powstał w duszy ślązaków w zetknięciu się z ludźmi z Polski centralnej specyficzny kompleks niższości na tle językowym. Usunąć ten kompleks, przetworzyć to w poczucie niższości na pewną swobodę i odwagę wypowiadania się w mowie i na piśmie — oto c el najbliższy naszej pracy.

Chcemy wierzyć, że to nam się przy wspólnej pracy wychowanków i wychowawców po części udało. Ale u ludzi, ze Śląska zaobserwować można jeszcze inne ciekawe zjawisko. Nazwijmy to niedowierzaniem, chwiejnością, rezerwą w stosunku do tego co polskie.

Ta dość silnie zarysowująca się bierność w dziedzinie kulturalnej, społeczno - gospodarczej i politycznej ludu opolskiego ma swoje wytłumaczenie. Nie dotyczy ona tych oczywiście, którzy czynni byli w Związku Polaków w Niemczech. Ci są dzisiaj często na odpowiedzialnych stanowiskach w administracji państwowej, samorządowej i w przemyśle. Biorą także czynny udział w życiu gospodarczym i społeczno - kulturalnym. Nam chodzi jednak o wieś w powiatach nadodrzańskich, a szczególnie na lewym brzegu Odry. Uniwersytety ludowe muszą tę bierność usuwać. Wyczuć trzeba ów proces przekonywania się do kultury polskiej, proces wewnętrzny, powolny przebiegający po linii zygzakowatej. Działają na linie postępowania człowieka śląskiego siły odśrodkowe w postaci szeptanej propagandy, zachowanie się tu niektórych „pionierów" polskości, potem publikacje prasy, która często bezkrytycznie pisze o rzekomych poważnych osiągnięciach Niemców na polu gospodarczym i kulturalnym, odradzających się siłach Niemiec, nowym zagrożeniu pokoju światowego ze strony Niemiec.

Wszystkie te wiadomości pogłębiają niepewność i opóźniają proces zrastania się Śląska z resztą ziem polskich.

Uniwersytet ludowy na Opolszczyźnie musi tak opracowywać program, aby przekonał słuchaczy — autochtonów do Polski. Materiał zestawiać winien tak, by był przekonywujący i obiektywny. Zamiast wyśmiewać kulturę niemiecką, należy przedstawić pozytywne osiągnięcia pokoleń polskich zmarłych i dziś żyjących.

Ogromną rolę w budzeniu zdrowej dumy narodowej spełniała u nas historia. Pozwoliła ona udowodnić, że Polskę tylko raz udało się Niemcom pokonać w ciągu 3 tygodni, ale były chwile, gdy Polska łamała kręgosłup Niemiec. Opolanin patrzy w ten czas na Polskę i Niemcy jako na dwu partnerów, z których w starciu raz ten, innym razem tamten zwycięża.

Zakończyliśmy kurs wycieczką do Krakowa i Zakopanego. Kiedy słuchacze oglądali historyczny obraz Matejki, przedstawiający księcia pruskiego u stóp Zygmunta I. czuli, że przynależeć do narodu polskiego, to znaczy należeć do narodu, który w pochodzie kulturalnym ludzkości często przodował i nie ustępował miejsca takim państwom jak Niemcy, Włosi, Francja Czesi. Padały z ust naszej przewodniczki po Krakowie ob. Marcoin takie zdania: „Kaplica Zygmuntowska, najpiękniejszy zabytek renesansowy na północny wschód od Alp, dziedziniec wawelski, największy dziedziniec zamkowy w Europie, nie wiele znajdziemy miast w Europie, które mają tak piękny i obszerny rynek, jak nasz Rynek Krakowski".

Takie zdania miały dla nas z Opolszczyzny swoją wymowę. Kiedy słuchacze nasi czytali „Krzyżaków" i pierwszy raz w życiu słyszeli o Grunwaldzie, kiedy opowiadano im o pokoju toruńskim, kiedy dowiedzieli się o tym, że królowie polscy panowali na Węgrzech i w Czechach, łamały się wiązania konstrukcji pojęciowych budowanych przez niemieckie szkoły.

A więc to nie prawda, że Polska to nędza, brud, brak kultury, jak to w szkołach Niemcy uczyli.

„To bych nigdy nie myślał, że Polska mo tak piękne łobrazy, rzeźby, kamienice, kościoły. Do dziś ech nie wierzył coście nom panie kierowniku mówili, od dziś będam o Polsce inakszy myślał". Oto wypowiedź jednego ze słuchaczy, biorącego udział w wycieczce.

To są najpoważniejsze wyniki pracy.

Człowiek Opolszczyzny szuka drogi do Polski. Szabrownicy i nieodpowiedzialni „pionierzy" rzucili na tę drogę ciężkie kłody. Ale nic nie jest straconego. Wszystko się da, bo się musi dać odrobić.

Uniwersytety ludowe wskazują na „Wyrąbany chodnik", który trzebili inni i trzebią inni. Ci, którzy rozumieją, że przyszli na ziemie, które tak długo matki nie znały. Karol Miarka napisał kiedyś w swoich fragmentach z podróży do Gniezna: „Tak daleko przywiedziono syna śląskiego, że złorzeczy matce od której go od dawnych czasów oderwano. Jednak jemu nie złorzeczcie, bo to tylko barwa, którą go powierzchownie powlokli, w głębi serca spoczywa iskierka, która łatwo daje się ożywić". Ona rozpłomieni się na pewno. Trzeba tylko w tę iskierkę wierzyć, i trzeba na Opolszczyźnie dużo ludzi uczciwych, ludzi czystych rąk.

Stanisław Witowski

KRZESNY

(fragment opowieści pt. „Uroki lata")

Poranek, słońce! Drzewa zielone się chwieją, błyszczy niebo... Z ostrym pogwizdem prześlizgują się w powietrzu jerzyki. Wydaje się, że to one roznoszą tę światłość ognistą. Na drodze ruch. Turkoczą wozy, ludzie z bańkami śpieszą do mleczarni. Niektórzy z kosami idą już w pole. — Żniwa, żniwa!

I dla nas kosy wynosi krzesny pod ścianę domu, gdzie wychodzimy, zjadłszy śniadanie. Dziewczyny dzierżą już sierpy w ręku. W chusteczkach barwnych na głowie, uśmiechnięte są jak przestwór. Oczy wszystkich błyszczą ze szczęścia, jaśnieją usta. Wszystko zdaje się wiedzieć jaka to pora — oddychać mocniej, prostować się, nucić, krzyczeć z radości: — Żniwa! Żniwa!

Z kosami na ramieniu kroczymy uroczyście długą wiejską ulicą. Rozglądamy się dokoła. — Dymy niebieskie wychodzą z sadów zielonych i świecą w słońcu. Z gąszczów pachnie jeszcze rzeźko rosa. Od kos połysku mieni się cała ulica. Wszyscy uśmiechają się do siebie, krocząc dostojnie. — Tam, tam, do końca wsi, gdzie przestwór zda się otwiera, leje ognisty potop. W świetle tym ciemnieje łagodnie figura Matki Boskiej. Wyciąga ręce w kierunku wsi, jakby ją całą zapraszała na pola.

W istocie kroczymy tam, pełni dziarskości i zdrowia. Kosy jak skrzydła wahają się nam u ramion. W ten sposób idzie wesele, kroczy moc. Oczy nie mogą się dosyć napatrzeć świetlistości powietrza, złotawej bieli zbóż, które jak piana lekuchna stoją na polach. Niebawem zgarną je kosy, więc pewien smutek jest w nich, melancholia — w zwieszonych srebrzystych kłosach.

Smutnym też wydaje się ciemny wiatrak na wzgórku. Przywykł już do tych niw, tyle się na nie naspoglądał, polubił je, więc oto duma, tęskni, myśląc o pustce, która nastąpi — samotny, nieruchomy. Nie raduje go przyszła praca.

W ogóle, w całej przyrodzie, pomimo słońca, jest cichy niepokój, smutek. Żałosne wydawają się lasy, siniejące w oddaleniu. Wszystko przeczuwa zgon, któremu niedługo ulegną kłosy. Cała ziemia zostanie oszpecona jak owca, gdy z niej wełnę zdejmą — runo srebrzyste, miękuchne.

Te zadumę lekką powietrza odczuwamy i my i jest w nas pewna rzewność. Ale trudno, trzeba się z tym pogodzić. W istocie i jesień jest piękna, gdy porozciąga swe kilimy po niwach. Schodzimy tedy z drogi na miedzę i nią dalej zagłębiamy się w pole. Tu kosy z ramion, kurtki na ziemię... Ująwszy w rękę osełki, zaczynamy nimi pocierać modre żeleźce. — Brzęk, brzęk, brzęk! — leci po śniadych łanach, gdy w dalszym ciągu rozglądamy się po świecie. Za nami z sierpami w ręku przystanęły dziewczyny. I one wsłuchane są w lśniących ostrz szorstką muzykę. Pachnie jeszcze rosa od ziemi i wspólnie wilgotne zioła. Coraz ogniściej doskwiera słońce. Blask jego zwolna robi się szklisty, przestwór bieleje powoli. Upał dziś będzie straszny.

Wszystko to zauważywszy, wkładamy za siebie w „kurzaje" osełki i zaczynamy kośbę. Pierwszy pochylił się Stefan i zamachnął szeroko, rozkraczywszy nogi. Za nim stanęła Zośka. — Szach, czach — przemówiła ostro kosa, kłosy drgnęły i obaliły się na „ściane". Zośka, pochyliwszy się, zaczęła je zbierać sierpem, sunąc po ziemi nogami. Na mnie kolej. Postąpiłem parę kroków, za mną Irenka...

Odtąd już dwie kosy nuciły na zmianę. Pola ogarnęła cisza. Zdawały się nasłuchiwać melodii śmierci, ścieśniać się, zwierać z niepokoju. Tylko polne koniki dzwoniły nadal srebrzyście i tęskno. Żałosną piosenką żegnały swój raj świetlisty.

Kosiliśmy zapamiętale. Stopniowo zaczął nam oczy zalewać upał. Twarze poczerwieniały, zwłaszcza twarz Zośki. Wszyscy błyszczeliśmy z upojenia i gorąca. — Toć to żniwa, największe święto w roku. Człowiek po prostu kołysze się jak w tańcu, kosa tak lekko wchodzi w żyto... Zabawa to, a nie praca, posuwisty raczej obrzęd — w woni zbóż, w świetle, w upale. Możnaby tak kosić z zamkniętymi oczami. Bujność to, swoboda, nienasycona namiętność. Człowiek wdycha i wydycha zdrowie.

W pewnej chwili, ostrząc kosę, obejrzałem się na Irenkę. Mozoliła się nad związaniem snopa. Zarumieniona, zgrzana — uwijała się jak mogła, podnosząc ku mnie uśmiechające się oczy. Odłożywszy tedy kosę, szedłem jej pomóc, gdy zawołała Zośka:

— Irenka, daj spokój. Przyjdzie Janka ze śniadaniem, to będzie wiązać. Ty jeno kładź na garście.

Więc Irenka kładła — teraz już stale przy mnie. Nie przestawała się uśmiechać, stając się coraz więcej błyszcząca. Zwłaszcza jej oczy po prostu jarzyły się światłem. Mieniły się szafirowe jak przestwór — coraz to bardziej oślepiający, ognisty, ogarniający tonącą w kłaskach i zbożach ziemię. Paliła się w tym upale od brzegu jasnego po drugi — wielka, puszysta i jakaś taka lekka, jakby z przędzy srebrzystej tylko przez słońce pająka uprzędzona.

Nie mogłem się dość napatrzeć na Irenkę, kiedy tak wyprostowana stanęła z sierpem w ręku, zarumieniona i hoża, w chusteczce pelargoniowej na głowie — wysmukła na tle brązowego łanu i ognistego nieba. Żałowałem, że nie jestem artystą-malarzem. Tak ją oddać w tym świetle, uśmiechach, z sierpem w ręku i spoglądać na to potem w zimie. — Po prostu czuć, jak z płótna żar ognisty wieje, pachną umierające kłosy. Lato utrwalone razem z nią w jego blaskach i pogodzie.

Irenka, jakby wiedząc, co ja myślę, uśmiechała się jeszcze ponętniej, prościej. Ogromnie ją polubiłem za ten uśmiech, spokój, prostotę w sposobie obejścia.

Służyła nam obojgu doskonale ta żniwna, platynowa pogoda. Nikt bardziej od nas nie odczuwał uroku lata, smętku żniw, marzenia przestrzeni świetlistej. To też wracając do miejsca, skąd zaczynaliśmy kośbę, po strzelającym szklistym ściernisku, w szeleście źdźbeł, nuciliśmy nie głośno, rozglądając się po ziemi:

Choć tak jasno, rzewnie, miło,
blask w całym świecie —
już nie będzie tak jak było
w kochanym lecie...

. . . .

Dochodziła godzina może dziesiąta, upał coraz jaśnistszy zatapiał nam oczy i pola, gdy na zielonej dróżce pojawiła się Janka, pędząc przed sobą białe stadko gęsi. Zobaczywszy nas z bliska, przystanęła zdziwiona:

— Co? Ojca jeszcze nie było? Wyszli przecież przede mną ze śniadaniem...

— Wyszli, ale nie doszli. Widać wstąpili do „kowala" jak zwykle — mruknął Stefan, opierając o ziemię kosę. — Dam ja im, ino tu przyjdą na pole.

W istocie po chwili krzesny ukazał się zza żyta. Stąpał lękliwie, przeczuwając burzę. Sądził, że Jankę uprzedzi, a tu masz, psia kreszka... Nastroił, wchodząc na ściernisko, płaszliwą minę, powlekając „bolejącą" nogą. Stefan jednak nie dał się tym przejednać i huknął na ojca z góry:

— Gdzieżeście to łazili do tej pory, co?

— Ady cicho, Stefan — zaczął krzesny, stawiając na ziemi bańkę z kawą i koszyk z chlebem. — Musiałem wstąpić do kowala wedle pługa. Wiesz przecie, że trzeba będzie zaraz podorywać ścierniska.

— Tak? Wiem ja dobrze, co to za kowal. Chodźcie no tu bliżej, czy nie czuć od was wódki. Ze sklepiku idziecie, co?! — wołał zbliżając się do ojca groźny, z pochyloną jak do uderzenia głową. — Chuchnijcie ino.

— Idź do diabła! — wrzasnął naraz odskakując krzesny. — Zeszcze mnie zahaczysz tą kosą — dodał łagodniej. — No, jedzta śniadanie, a ja pójdę zobaczyć, czy tamto żyto przy granicy będzie można kosić po południu.

Odszedł dość żywo, zapomniawszy całkiem no nodze. Lecz oto znagła sobie przypomniał, bo znienacka stanął, ujął się za kolano... Wiedział, że za nim spoglądamy, chciał wzbudzić litość, ale gdyby się obejrzał, dostrzegłby tylko uśmiech. Najgłośniej śmiała się dziesięcioletnia Janka, wskazując idącego obok łanu żyta ojca. Zdaleka przedstawiał się w słońcu, jak żywy strach na wróble.

— Patrzcie, jak to udawają... Myślą, że kto głupi i uwierzy. Żeby tak zając wyskoczył z bruzdy — jeszcze by go dogonili, chociaż tak, to niby ledwo chodzą. Hi, hi, hi!

— A kto wie, może oni naprawdę są chorzy — powiedziała zamyślona Zośka, czulsza dla rodziny z powodu bliskiego wyjazdu do Francji.

— Są chorzy! Wy obie z matką głupie im wierzyta. Niech tylko ich nikt nie widzi, wtedy umieją się zwijać — upewniała Janka, nalewając nam w kubki kawę, gdy spoczęliśmy pod mendelem. Uśmiechnęliśmy się tylko na to z Irenką, spoglądając za krzesnym, który był już daleko. Zakrywał go prawie do ramion biały łan żyta, paliło natrętne słońce. On niby spoglądał na kłosy, kruszył je, wyjadał ziarno, a w istocie myślał:

— Psia kreszka. Nie dadzą ojcu wypić nawet we żniwa. Ścierwo! Byłby ode mnie poczuł, gdybym nie uskoczył w porę — myślał o Stefanie. Wyjął cebulę z kieszeni i zaczął ją żuć bezzębnymi szczękami. Wynalazł ten sposób na przytłumienie zapachu wódki. Przegryzłszy, powracał, przystając co trochę po drodze. Wreszcie doszedł jednak do nas. Spoczął opodal na snopie, zbierając pod siebie ostrożnie nogi, i rzekł:

— Skończyta do południa, to możecie tam od razu przechodzić. Ziarno jeszcze jare, ale dojdzie na słońcu w mendelach.

Zaczął wyjadać nowy kłosek, spoglądając z wyrzutem na syna. Lecz Stefan nie wiele przejmował się „boleścią" ojca. Wiedział, że mówi prawdę. Dopiero gdy zjadł odpoczął, odezwał się do starego:

— No ojciec, dajcie teraz papierosa.

— Mam sam chociaż jednego! — warknął poprawiając nogi, krzesny. — Skąd to wezmę, gdy we wszystkim mnie śledzita — dodał z ubolewaniem. — Sam jeno na bórg wezmę jedną „Wandę", gdy wyjdę na wieś. Ciągle na mnie wszyscy huru buru jak na tego Łyska — westchnął sięgając do kapelusza, by obetrzeć z czoła pot. Zalśniła w słońcu łysina i nagle...

Posypały się jeden za drugim papierosy — cała rozklejona pod kapeluszem paczka „Awanti". Janka na ten widok wybuchnęła śmiechem, zaś krzesny rzucił się na rozsypane papierosy, jak wilk na wydzierane z barłogu kości. Gniewny był przy tym, że tak sam siebie odkrył — wysypał dosłownie.

— Ha, ha, ha! — śmiała się Janka. — A mówiliście, że nie macie ani jednego. Pan Bóg was skarał za to. Widać znów podebraliście gdzie kurę.

— Idź ty głupku! — burknął krzesny, pozbierawszy papierosy. — Dla chłopaków umyślnie przywiozłem z Kalisza na żniwa.

— Akurat! Mielibyście je do tej pory. Mama wam może uwierzy, ale nie ja.

— Olaboga! — krzesny wstał i z dwoma papierosami w palcach zbliżył się do nas. — Masz Staśku i ty Stefan. — Zabierał się usiąść przy nas na snopie, gdy Janka nagle wrzasnęła:

— Ostrożnie ojciec, bo kosa!

Krzesny, usłyszawszy to, wyskoczył jak oparzony. Zatrzymał się opodal gniewny, poznawszy żart. Aż łzy napłynęły mu do niebieskich źrenic, gdy spoglądał na córkę z wyrzutem. Rzekł, gdy umilkł wreszcie śmiech:

— Tak to się kpią ze starego ojca, gdy ja ledwo stoję na nogach.

— To pocoście przyszli ze śniadaniem? Nie mogła Janka zabrać po drodze?

— Olaboga! — krzesny znów się oburzył. — Ciągle byśta kazali mi siedzieć w domu. Tam matka mnie pędzi, tu wy...

Umilkł, gdy nie przestawaliśmy się uśmiechać. W istocie biedak wyglądał żałośnie. Po prostu kot by nad nim uronił łzę, a tu rodzone dzieci nie miały wyrozumienia, litości... Odszedł wreszcie, zabrawszy pusty koszyk.

— A wstąpcie znowu do „kowala"! — krzyknął za nim Stefan.

Obejrzał się z obrazą — odległy już. Pomału zniknął za żytem. Wtedy my wyciągnęliśmy się jak dłudzy w cieniu mendela. Przy nas zamyślone siedziały dziewczyny. Zośka smutna z powodu bliskiego wyjazdu i rozbawiona Irenka. Zaczęła mnie drażnić po twarzy kłosem, który trzymała w ręku, sama siedząc pod nachyloną kłosistą strzechą. Ale pomału dłonie zaprzestały psoty, twarz spoważniała choć na usta stale powracał uśmiech. Całowaliśmy się oczyma.

Po znojnej pracy nastała chwila jasnego odpoczynku. Ogniste chmury przepływały wysoko, jakby poszukując cienia. Wszystkiemu przychodziły na myśli jakieś uroczyska leśne, brzegi rzek, łąki bezkresne. Po świecie, po polu i nam po oczach pełzał srebrzysty sen. Z tym uczuciem, z tym widzeniem w słońcu całego świata usnąć choćby na całą wieczność.

Oczy Irenki uśmiechały się coraz lśniściej, niżej nade mną — srebrzysto szafirowe i tak pełne czarującego wyrazu, słodyczy, iż zdawało mi się, że to jakaś święta spogląda z miłością na mnie, gdy śnię.

Tak, w istocie to sen. Leżę w znak na białej chmurze i żegluję w nieskończoność. Nade mną uśmiechnięta dziewczyna z kłosem w ręku. Czyż może być większe szczęście? W rzeczywistości nigdy.

Odpoczywaliśmy tak blisko godzinę, pomału roztapiając się w blask. Ale trzeba było zebrać się wreszcie. Przekosiwszy jednak parę razy, daliśmy spokój pracy. Zbyt głowy nam rozpalił żar. Zabraliśmy się tedy do domu, idąc po prostu oślepieni w upale. W istocie ziemia płonęła niby na patelni ognistej jajecznica — nadomiar, niby tłuszczem — podlewana ciągle słońcem.

Trochę tę jaskrawość powietrzna łagodziła zieleń wsi, do której wstąpiliśmy, lecz i ona poszarzała w upale. Wierzby nad drogą cierpiały, zwiesiwszy liście. Sady stały wprost w gotującej się wodzie. Nad światem wiło się ogniste znużenie. Upał wypalił myśli wszystkiemu, niby resztę wilgoci porannej w trawie.

Wyczerpani, omdleli wlekliśmy się przez martwą wieś po gorącym jak popiół piasku. Że też tam komuś chciało się klepać kosę na taki żar. Toż można było usnąć siedzący z młotkiem w ręku. Ostrzej tylko pachniały pokrzywy, błyszczące pod płotami siwym, włoskowatym liściem... Nareszcie staw zalśnił przed oczyma, tuż za nim oślepiła nas białością ścian chałupa. Z ulgą skręciliśmy na podwórze i wieszamy kosy na płocie, skąd do klepania zabierze je krzesny, a sami w mrok do chłodnej izby... Na oknach wiszą chusty, u drzwi płachty. W całym domu pachną krojone świeżo ogórki. Ledwo, że dostrzegamy krzesną przy kuchni. Z uśmiechem na ustach stawia przed nami obiad na stole.

Próbujemy, lecz nie możemy jeść. Za gorące są jeszcze jagły i błyszczą, — błyszczą tłuszczem jak przed tym pola słońcem... Nie, dziękujemy na razie. Wolimy ze Stefanem wynieść się do stodoły. I tutaj mrok i chłód, mimo płonącej jakby strzechy. — Ah, co za uczucie błogości legnąć na żółtej słomie, rozścielonej wprost na zimnym klepisku. Oddychać głęboko — oddychać, a potem utonąć w sen, nie czuć nic, nie widzieć...

Niestety — praca dopiero teraz zaczyna się rozchodzić po kościach W głowie, w myślach — nieustający blask. Jeszcze raz kolejno oglądamy wszystko, cośmy widzieli na polu, we wsi dzisiaj. Wtóruje nam cienki jak osa brzęk. To krzesny, siedząc w workach na podwórzu przy pieńku, klepie nam kosy. Usiadł w największym słońcu z odkrytą głową. Dziwię się, jak jego łysa czaszka może znieść podobny upał — nie stopnieje niby wosk. Błyszczy też jak szklista kula. Ale to nic. Krzesny lubi podobne „ciepło". Wie, że nikt wtedy nie zbliży się do niego z obawy porażenia słonecznego, nie poczuje lubego dla niego zapachu wódki... Raz wraz też powstaje, idzie do obory i zerknąwszy na wszystkie strony, pociąga z buteleczki ukrytej za żłobem. Kosa zaczyna brzęczeć znowu, gdy on jak skwarek świeci się w słońcu.

Nie zważając na to słońce krzesna właśnie wyniosła picie dla świń. Dźwiga pełen kubeł pomyj, idąc schylona przez podwórze. Wtedy i krzesny się podnosi, idzie za nią do obory. Ostrożnie zatrzymuje się po drugiej strony przegrody. Słuchają oboje, jak łakomie mlaszczą prosięta, wlazłszy racicami w koryto. Krzesna oparta o drąg, długo i przenikliwie spogląda na męża, któremu robi się nieswojo. Rzecze wkońcu łagodnym głosem, w którym drgają tony wyrzutu:

— Józek, tyś bodej znów pijany?.. Przyznaj się, piłeś przed chwilą?

— Idź ty głupia — bełkocze, cofając się krzesny. — Widzisz przecie, w jakim gorącu siedzę, nie dziwota więc, że osłabłem... Co udały się nam prosięta, Antośka — zagaduje wkońcu, by ją zbić z tropu. Ale krzesna nie spuszcza z niego źrenic i mówi dalej, kiwając głową:

— Pijanyś widzę, pijanyś zupełnie... Józek, jak ty się Boga nie boisz. To ja z dziećmi haruję jak koń, a ty... Józek, przestań pić, proszę cię na litość — wyciągnęła ku niemu ręce.

Ale krzesny nie chce się przyznać do winy. Cofa się wciąż ku progowi obory, bełkocząc niby oburzony:

— Idź ty głupku majowy! Skądbym to brał ciągle na wódkę? Dałaś mi z grosz?...

Wycofał się ku pieńkowi, gdzie spoczął, biorąc znów kosę i oglądając pod światło jej ostrze. Krzesna popatrzywszy za nim, wzruszyła ramionami. Wiedziała, że go nie przekona. Musi się już tak męczyć do końca życia.

Zabrała pusty cebrzyk i pomału zgarbiona odeszła w stronę domu. Krzesny tymczasem myślał, siedząc przy pieńku:

— Psia kreszka... Muszę być ostrożniejszy na przyszłość. Zawsze pozna po mnie, gdy wypiję. A po co ty żyjesz na świecie, biedny człowieku, za co się trudzisz?... Żałuje mi tego kieliszuszka. Czy to ja już całe gospodarstwo przepiłem, czy co?

Rozumował, chcąc zagłuszyć wyrzuty sumienia. Ale nałóg silniejszy już był niż rozum i wola, mocniejszy niż prośby i łzy żony — milszy niż dzieci, godność, wszystko.

Choć niby spałem — widziałem i słyszałem, co się dzieje na podwórzu, czytałem mimowoli w myślach stryja. Zasnąłem wkońcu na dobre. Uśpił mnie ten jednostajny brzęk kosy, odzywający się ciągle, jak żałosny świerszcz na wypalonym pastwisku.

Gdzieś przez szczeliny stodoły zalatywała pachnąca iłem woda. Płonęła tam w słońcu, które jak osa wysysało z mocy ziemię. Mdlała wszystka, by kwiat, osuwając się w ognisty przestwór — wielka a senna, jaśnista od brzegu jednego do drugiego.

Ignacy Antosz

PAŃSKIE PRAWO

„Surowe są życia drogi. Prawa rządzenia światem są okrutne. Nie ma rady wybrnięcia z biedy od kołyski niemowlęcej". Tak myśli Edek Augustynów. Patrzy w świat. Oczy mu mgłą zachodzą...

Augustynowa rodzina jest liczna. Dziesięcioro dzieci istnieć pragnie pod słońcem! Dziesięcioro, na dwu hektarowym gospodarstwie.

— Czy uchowają się bez walki mozolnej o życie? Na przednówku w domu brakuje często chleba.

Ojciec zniszczony wiekiem i pracą w polu, jest zrezygnowany. Rozumie, że nie mały to trud — dać dzieciom pomoc, by mogły żyć samodzielnie. Dzieci próbują wszystkich sił w walce o byt.

Stefan ożenił się w Wielkiej Wsi. Jasiek zarabia we młynie. Marian w wojsku służy ochotniczo, a Franek pracuje z zamiłowaniem w gospodarstwie. Hoduje owce, pszczoły, założył szkółkę drzewek owocowych — co chwila wprowadza do domu coś nowego. Pasieka daje miód, owce wełnę. Młodsza siostra tka pończochy i swetry. W domu wre praca i ruch, ale zawsze jeszcze czegoś za mało. Ciężar rodzinny przyciska barki sędziwego ojca, jak gruba pokrywa śniegu słomiany dach chałupy.

Władek — chce uczyć się. Ma duże zdolności. Pisze więc prośbę do Prezydenta, o pomoc na kształcenie się. Oszołomiony nadzieją, czeka dobrych wieści...

Wiatr śniegiem zamiata, mroźny, styczniowy. Ludzie z izb mało wychodzą z obawy przed zimnem. Czasem ktoś skrzypnie drzwiami, opuszcza dom, gdy zajdzie konieczność. Śnieg pod nogami skrzypi. Zawiało każdą grudkę ziemi. Trudniejsze jeszcze niż dla ludzi zaistniały warunki dla zwierząt.

Stada kuropatw przycupnęły w śniegu, chronią się przed mrozem. Grzebią, by choć listków parę odskubać od ziemi i głód zaspokoić na chwilę.

Zające zbliżają się do osiedli, aby z głodu w polu nie paść. Na to czekają wrony.

Płyną dni ciężkiej zimy, wolno, okrutnie... Dla polnej zwierzyny i ptactwa zabójcze.

W któryś dzień tygodnia zamieć ustała. Na błękitnym sklepieniu nieba, ukazała się ognista tarcza zimowego słonka. Ciepło od niego płynie na puste przestrzenie. Odetchnęła znękana mrozem ziemia. Odetchnęli weselej nieco ludziska. Wyszedł Franek na drogę, spojrzał w dal. Droga była zasypana śniegiem. Nie było najmniejszego śladu ludzkich stóp. Spojrzał do ogrodu przez płot, który latem zbudował. Coś go za serce ścisnęło. Twarz przybrała bolesny wyraz. Zaskrzypiały błyszczące gwiazdki pod nogami. Przed nim stały nagie drzewka pielęgnowanej szkółki. To zające obgryzły zupełnie korę.

Poszedł z tą smutną wiadomością chłopak do domu. Nastąpiło poruszenie, ale ratunek był już spóźniony.

Ale znów słońce pokryło się grubą pokrywą żałoby. Niebo poszarzało. Śnieg począł padać srebrnymi gwiazdkami na ziemię. Zerwała się wichura, pędząc kurzawy śniegu na domy.

W Augustynowej chałupie zasiadali do wieczerzy. Stara Agnieszka labiedziła na mroźne czasy.

— Drzewa ubywa z pod ściany. Przez okna starej chałupy mróz się wciska...

— Zimno, wielkie zimno.

Śnieg sypał obficie, wichura od lasu się wzmagała, niosąc tumany śniegu w Augustynów sad.

W chatach cichło życie. Zapadała noc. Gasły w oknach mdłe światła.

Ku osiedlom skradały się jak dawniej zające.- Śniegu było wyżej. Dawne blizny śnieg zasypał. Nowa kora służyła znowu za pokarm głodnym stworzeniom.

W domach, kamiennym snem zwaleni na barłogi ludzie odpoczywają do rana — do wiosny. Nie jeden jeszcze z lata ból w krzyżach czuje. Od kosy, od wybierania kartofli.

Ale Franek zasnąć nie może, niepokoi się o sad. Tam napewne są zające. Tyle pracy, tyle pracy...

— Czyżby nie było rady na tę plagę? — zapytywał się sam siebie Franek. Marcin robi druciane siatki. To odstrasza. Podobno nawet złapał się jeden. Ożyna konewkę z koniczyną wewnątrz nastawia, to ma być dobre. W ubiegłą zimę furman z folwarku rozwoził po polach i zagajnikach siano, marchew i poślad. W ten sposób odciążył napływ zwierząt na osiedla. Pomagał zwierzętom i ptactwu w przetrwaniu ciężkiej zimy. W tym roku brak opieki nad tymi istotami. Strażnik leśny zastrzelił się z początku zimy, a los biedactwa pozostał bez niczyjej opieki.

Troska męczy człowieka, spać nie daje, wpycha w chorobę.

Długi czas Franek zasnąć nie mógł.

Wstawał dzień. Każdy wstawał. Ciężar przepełnionego barłogu każdy dźwigał boleśnie. Dźwiga Franek ten sam ciężar, lecz szybko się otrząsa z apatii. Idzie do ogrodu. Czuje niepokój.

— Psia krew! — Sprawdziło się. Białe łodygi drzewek kiwały się sucho i drwiąco. Wiatr szeleścił.

Z za chmur wypływało słońce i zdawało się, że zima łagodnieje. Franek Augustynów idzie do dworu. Na skargę.

— Powiem, pożalę się — musi być skutek! Idzie pół godziny, przemyśliwa, co mówić i do kogo. Staje przed bramą majątku. Nie pierwszy raz tu jest... Chodził po kwiaty i warzywa dla nauczycielki. Szedł z Józią Kolbuszówną kupić kwiatów na ustrojenie ołtarza w maju.

Naciska brązowy guzik raz i drugi. Czeka. Zjawia się po chwili lokaj dziedzica. Informuje się po co Franek przychodzi.

— Do pana dziedzica.

— Choć dalej — zawołał lokaj. Lokaj oznajmił przybycie Franka. Wyszła szczupła pani z pokoju. Franek, który już dawno przygotował się do rozmowy, przedstawił swoją bolączkę.

Z ust chłopaka niesie się prawie dziecięcy ton:

— Jaśnie wielmożna pani! — Chciałem poprawić gospodarstwo ojcowe, przez stałe ulepszanie go. Założyłem szkółkę drzewek owocowych, napracowałem się, włożyłem oszczędności i po czterech latach pielęgnacji, poszło wszystko w niwecz. Zające zniszczyły mi drzewka prawie doszczętnie. Prosiłbym wobec tego jaśnie pani, o częściowe chociaż wynagrodzenie szkody, jaką poniosłem ze strony zwierzyny, należącej do jaśnie wielmożnego państwa.

— Dziwne, — odrzekła dziedziczka. — Takich skarg jeszcze nigdy nie było. Niewątpliwie trzeba by ci coś wynagrodzić, ale musi o tem wiedzieć sam pan dziedzic... Jest w tej chwili w polu, w okolicy Przylasku. Przyjdź innym razem, a może dziś jeszcze uda ci się spotkać pana dziedzica.

Franek ukłonił się grzecznie i odszedł, wierząc w dobre skutki swego zabiegu. W międzyczasie dziedzic wracał z przechadzki. Nudzi się jednostajność w domu. Dziedzic kocha naturę, śnieg i szron.

Spotkał Franka.



rys. Tadeusz Zarzycki

— Skąd? — pyta. Franek, zapłoniony wstydem, opowiada...

— Hm, — westchnął dziedzic.

— A jaką te drzewka wartość przedstawiały?

— Trzysta złotych — odpowiedział Franek.

— Hm, to większa szkoda... Nie można było jakoś tych drzewek ochronić? —

— Wokół szkółki były sztachetowe ogrodzenie, ale śnieg zawiał cały płot.

— Najlepiej byłoby poprostu słomą owinąć, każde pojedyńcze drzewo, — mówił dziedzic — lub poprostu jakiś postrach sporządzić na zające. Cóż ja teraz poradzę, przecież ja pilnować nie będę zajęcy — przekonywał dziedzic.

Zrozumiał Franek, że skargi jego są bezskuteczne, odszedł zawstydzony i zły. Kiedy rozmawiał z dziedziczką wydawało mu się, że przecież coś wyżebrze. Teraz przekonał się, że się zawiódł.

Wraca ze dworu z niczym. Południe już było. Spojrzał na szkółkę. W sercu miał ogień, w oczach iskry czerwone.

Inaczej Marcin Sowa czynił. Gadali ludziska, że kilka zajęcy już złapał, a kuropatwy same do domu jego przychodziły. Miał korzyść, choć szkody miał mniej. Przekonał się Franek, że iść w Marcinowe ślady będzie najstosowniej.

Przyniósł drutu i włosia, sporządził kilka siatek do łapania szkodników. Wyniósł je, przywiązał do mniej uszkodzonych drzewek, a oprócz tego zastawił osobne dla kuropatw. Nasypał ziarna. Kilka kuropatw początkowo uwięziło się w sieciach. Raz w nocy wpadł zając w kółka druciane, leżał do rana na śniegu nieżywy. Inne siatki leżały bezczynne, choć nadal zające przychodziły.

Gdy zelżało, sołtys rozniósł nakazy karne po chałupach.

Dotyczyły one: kłusownictwa, tępienia zwierzyny polnej i ptactwa, które należy tylko do dworu. Dostał nakaz karny także Augustyn, nie uszło i Marcinowi.

Franka trapiły zmory, za niego ojciec będzie odpowiadał. Zamiast otrzymać wynagrodzenie za zniszczony sad, pójdzie do kryminału, lub zapłaci grzywnę.

— Nie! Tak być nie może. — Zaklął w duchu. — Czyja większa szkoda — moja, czy jego...

Na niedzielnym zebraniu gromady stwierdzono, że nakazy karne otrzymali i tacy którzy są wogóle niewinni. Tacy którzy o kłusownictwie nie mieli nawet pojęcia.

Nastąpiło poruszenie. Gospodarze postanowili zrobić protest gromadny, z tą myślą, że ani płacić, ani wysiadywać w areszcie nie będą, a za szkody wyrządzone przez zające w ciągu zimy domagać się będą wynagrodzenia.

Wzrosła w gromadzie nienawiść do dworu, który usiłował ciskać na wieś ciężary.

Poszedł głuchy pomruk przez izby chłopskie i złorzeczenia pod adresem pana — za niesprawiedliwość, za krzywdę, za nieludzkie postępowanie. Wytrząsali ludzie ogrom swoich dawnych uraz, a było ich grubo.

Władysław Błachut

O nowego nauczyciela

Przez cały długi czas okupacji niemieckiej problem oświaty na ziemiach polskich, zarówno na wsi, jak i w mieście, dla zaślepionych w swym rasizmie panów z „Herrenvolku" poprostu nie istniał. — W myśl „wyższych" założeń, prawo do korzystania ze zdobyczy wiedzy miał wyłącznie napływowy element niemiecki, łącznie z miejscowymi renegatami; natomiast ludność polska miała stanowić uciemiężoną klasę helotów, przeznaczoną wyłącznie do pracy fizycznej, i tylko pod tym kątem widzenia podlegała do czasu pewnemu podstawowemu i zawodowemu przeszkoleniu. O ile miasta — przez tajne komplety uczniowskie, akademickie, literackie i t. p. — z powodzeniem usiłowały pokrzyżować te szatańskie zamierzenia, o tyle wieś — pozbawiona elementu wykształconego — pod względem kulturalnym coraz bardziej zaczęła się pogrążać w mroku ciemnoty, za wyjątkiem tych okolic i miejscowości, gdzie urzędowy element nauczycielski umiał zmylić czujność wroga i potrafił rozwinąć sieć tajnego nauczania dla młodzieży chłopskiej.

Dlatego też zagadnienie oświaty dla ludności wiejskiej w odrodzonej, demokratycznej Polsce, to może jedno z najważniejszych. Trzeba je rozwiązać szybko i rzetelnie. Zamierzenia w tym kierunku muszą iść trzema drogami:

1) przez stworzenie jednolitego typu szkoły powszechnej, obsadzonej dobrym personelem nauczycielskim;

2) przez umożliwienie zdolniejszej młodzieży wiejskiej studiów średnich i wyższych;

3) przez możliwie najszerszą rozbudowę oświaty pozaszkolnej na wsi.

Każde z tych założeń wymaga szerszego omówienia a zresztą wszystkie znajdują się, przynajmniej teoretycznie, w stadium realizacji i były szczegółowo omawiane na łamach prasy.

Dziś pragnę więc zająć się jedynie sprawą doboru odpowiednich kadr nauczycielstwa wiejskiego, stanowiącego bezprzecznie najważniejszy czynnik kulturalnego rozwoju polskiej wsi.

Wszystkim wiadomo, że dotychczas nauczyciel na wsi dość często nie umiał znaleźć wspólnego języka z chłopem i jego dzieckiem, które uczył czytać, pisać, rachować a poza tym minimalnym programem szkolnym dzieckiem chłopskim i wogóle życiem środowiska wiejskiego niewiele się interesował.

Przyczyna leżała w tym, że znaczny procent nauczycieli szkół powszechnych pochodził z miasta, ze sfer urzędniczych, mieszczańskich lub robotniczych, a więc ze sfer ze wsią mało lub nic nie mających wspólnego.

Rzecz charakterystyczna, że zawód nauczycielski był szczególnie niepopularny w szeregach kształcącej się młodzieży wiejskiej. Chłop wziąwszy na swe barki wysiłek kształcenia swego syna w mieście, najchętniej z góry wyznaczał mu zawód księdza, jako jednoczący w sobie wartości idealne i rychłe korzyści materialne. Podobnie i syn chłopski, chociaż nie myślał o karierze duchownej, to jednak z uporem piął się wyżej, a zawód nauczycielski eliminował ze sfery swych zainteresowań. Utarło się w końcu, że zawód nauczycielski stał się domeną młodzieży żeńskiej z pośród proletariatu miejskiego a nadto poświęcał mu się uczeń, który z różnych przyczyn nie mógł ukończyć studiów i zapisywał się do zakładu kształcenia nauczycieli, a ukończywszy go, szedł uczyć na wieś. Ten młody człowiek (zwłaszcza młoda, wyrwana ze środowiska miejskiego — nauczycielka) czuł się na wsi, z którą może zetknął się po raz pierwszy, obco i nieszczęśliwie. Nie mógł oswoić się z nowymi warunkami bytu, ani też zrozumieć zamkniętej duszy chłopskiej i zdobyć zaufanie chłopskiego dziecka. Pobyt na wsi uważał za przymusowe zesłanie, a dziecko wiejskie — za niewdzięczny „materiał". Na palcach liczył godziny nauki i z utęsknieniem czekał niedzieli, którą — o ile tylko warunki komunikacyjne pozwalały mu na to — spędzał w mieście.

Istotnie prymitywne warunki bytu, zupełny brak na wsi łatwo dostępnych w mieście rozrywek kulturalnych i nowe obce otoczenie wpływały na niego przygnębiająco.

To też z najwyższym uznaniem pragnę w tym miejscu podkreślić, że wśród niewłaściwie dobieranych kadr nauczycielskich dla wsi znajdował się zawsze duży zastęp takich nauczycieli, którzy potrafili zaaklimatyzować się na wsi, pokochać swą pracę, stać się ideowymi pionierami kultury wsi i całą duszę wkładali w swe szczytne posłannictwo. Jednak niskie uposażenie nauczycieli i uciążliwy system statystyk i biuralistyki rządów sanacyjnych dość szybko powodował pewną apatię nawet takich nauczycieli względem istotnych problemów jego odpowiedzialnego zawodu.

Dziś na tym odcinku pod każdym względem nastąpił zwrot na lepsze. Przede wszystkim trzeba i należy odpowiednio pokierować szkoleniem nowego narybku nauczycielskiego. Zasadniczo element nauczycielski dla wsi winien rekrutować się z pośród młodzieży wiejskiej. — Ma ona dziś dzięki reformie rolnej i poczynaniom Samopomocy Chłopskiej lepsze warunki i większe możliwości kształcenia się w tym zawodzie. Cały szkopuł w tym, że i dziś, z uwagi na znane położenie materialne nauczycieli, chłop nie ma wielkiej ochoty kierować swego dziecka do tego zawodu o chwiejnych podstawach materialnych i woli posłać je do gimnazjum ogólnokształcącego lub zawodowego. Sprzyja temu nadto stosunkowo niewielka ilość zakładów kształcenia nauczycieli w ośrodkach wiejskich, bo opuszczone przez dziedziców pałace i dwory zajęły gimnazja. Uważam jednak, że zaniedbaną niwę oświaty polskiej wsi winien przeorać pług kierowany przede wszystkim przez tych, którym sprawy wsi najbardziej leżą na sercu. Niech oni dopilnują, aby w przyszłości syn chłopski, za chłopskie pieniądze kształcony, wracał na wieś i oddał wsi swe usługi.

Jest rzeczą jasną, że zawód nauczycielski musi być również dostępny dla młodzieży z pośród inteligencji i proletariatu miejskiego, — ale kandydaci nauczycielscy z miasta powinni już w czasie studiów poznać i pokochać wieś, nie tylko przez dorywcze zetknięcie się ze wsią, ale najlepiej przez odbywanie całych studiów na wsi. I tu nasuwa się konieczność zorganizowania pewnej liczby zakładów kształcenia nauczycieli na wsi. W nich kształciłaby się przede wszystkim młodzież pochodzenia miejskiego, a także ci synowie chłopscy, którzy z powołania pragną się poświęcić zawodowi nauczycielskiemu, względnie którzy z braku środków na długie lata nauki i pobyt w odległym mieście obiorą studia nauczycielskie na miejscu.

Równolegle z tym winna kroczyć reforma i urealnienie płac i dodatków nauczycielskich, aby zawód nauczycielski przestał być zawodem unikanym, lecz zyskał trwałe podstawy materialne a przez to wzbudził większe zainteresowanie wśród młodzieży i należytą powagę w społeczeństwie.

Dzisiejszy stan rzeczy na tym odcinku budzi bowiem poważny niepokój a brak nauczycieli i kandydatów do tego zawodu godzi bezpośrednio w podstawy kultury Narodu.

Jestem pewny, że przy odpowiednich założeniach ten stan ulegnie zmianie i wnet zabliźnią się rany, zadane kulturze polskiej wsi przez Niemców, a zastępy świadomej młodzieży wiejskiej, często obojętne dotychczas wobec Ojczyzny, którą miały tylko żywić i bronić, ochotnie staną do twórczej pracy przy wspólnym dziele odbudowy wolnej, demokratycznej Polski.

Stefania Rybiejska

Świątkarz Jędrzej Wowro

GENEALOGIA ŚWIĄTKÓW

Kapliczki przybite do pni drzew, kaplice piętrowe stojące na rozdrożach, krzyże, figury, są poezją naszych dróg, pól, ogrodów i cmentarzy. Te ozdoby są również śladami krzyżowej drogi pracującego na roli ludu, bo w nich wyrażał swą ziemską niedolę, a czerpał otuchę dla uciśnionego serca. W tych małych dziełach architektury czy rzeźby zamykał wsiowy cieśla czy rzeźbiarz swoją umiejętność i pragnienie. A naiwność pełna rozmachu dekoracyjnego budzi w nas zachwyt i jest rozkoszą oczu.

Lud poza tymi rzeźbami czcił jeszcze i pamięć swych zmarłych, stąd stawiał na grobach kapliczki i ołtarzyki. Lecz przede wszystkim uzmysławiał rzeźbami swoje uczucia religijne, a to uplastycznienie sięga aż do prawiecza. Dlatego analogie między okresem „Światowidów" a figurami z mitologii chrześcijańskiej są bardzo bliskie. Pod względem stylu ludowe rzeźby drzewne są ostatnimi przebłyskami chłopskiego odczucia formy i linii średniowiecznego gotyku. (Filary ozdobne strzelistym kapitelem, piętrowe kapliczki, tak częsty przy drogach Jan Nepomucen (Niepomuta).

ŚWIĄTKARZE

Bezimienni rzeźbiarze zwani byli świątkarzami, a swój talent podawali z ojca na syan. Ich narzędzie kunsztu zwykły scyzoryk - cyganek (kozik), a produkt obróbki: lipowe drewno. Przeważnie zamieszkiwali odległe górskie wsi, chociaż nie brakło ich i w dolinach. To ich kunszt w wieku XVII przedostał się do Rosji, a wielu z nich fachowo wykształconych udało się tam. Szopka krakowska i kaplica wywarły wpływ na cerkiewną architekturę rosyjską. Pochodowi polskiej ludowej sztuki położył kres ukaz cara Piotra Wielkiego z 12 kwietnia 1722 r. — zabraniający wprowadzania rzeźby figuralnej do cerkwi i kaplic prywatnych. W ukazie jest zaznaczone, że zwyczaj ten został przyniesiony przez innowierców pogranicznych — Polaków.

Kaplice, figury, świątki świadczą, że świątkarze byli liczni i pilnie dłubali swoimi kozikami na chwałę świętych i ku ozdobie. Niestety, fabryczna tandeta gipsowa, wyparła świątki z kaplic i z domów, uczyniła świątkarzy bezpotrzebnymi.



Jędrzej Wowro w otoczeniu rodziny

ŚWIĄTKARZ NAD ŚWIĄTKARZE

Jędrzej Wowro był świątkarzem beskidzkim, całe swoje życie spędził w Gorzeniu Górnym, gdzie umarł 22 listopada 1937 roku w wieku 77 lat. Z ilości jego dzieł można wnioskować, że wcześnie zaczął dłubanie. Ten analfabeta, biedaczyna, istny powsinoga beskidzki, gospodarujący na spłachetku pola, zamieszkujący nędzną lepiankę — (która po jego śmierci rozpadła się) rozległy miał talent, przewyższający poprzedników i rówieśników w każdym ujęciu. Rzeźby Wowry w większości to okazy architektonicznie skonstruowane. Rzeźby z drzewa przeważnie barwne, bogate we frendzle, w ornament falisty. Jeśli Chrystus na krzyżu, to przy nim drabina, włócznia, kogut i narzędzia tortur: symbole. Świętych lubiał rzeźbić w parze, i tak święty Izydor, oracz z pługiem na ręce stoi obok świętej Katarzyny, która trzyma w ręce narzędzie swej męki — koło. Prawie każda kompozycja jest wyrazem folkloru i uczuć religijnych. Bo Wowro obraca się przeważnie w kręgu świętych i w tym jego odmienność w zestawieniu z Janem Golisem, który jako rzeźbiarz snycerz tworzył artystyczne przedmioty użytku praktycznego. Kozik Wowry poza winietami do poematów Zegadłowicza i ptaszkami niczego ze zdobnictwa praktycznego nie wydłubał. Wowro był tytanem pracy, istny Michał Anioł chłopski. Poza przeszło stu eksponatami, jakie zrabowali ze świątkarni Zegadłowicza Niemcy, pozostało jeszcze sporo u osób prywatnych, również eksponaty znajdujące się na PWK w Poznaniu zakupiło Warszawskie Muzeum Ludowe.

Znajomość artystyczna z Zegadłowiczem zawarta została około 1921 — 22 roku. Zało się od ptaszków. Żona Wowry przyniosła na sprzedaż „wydłubane' gile, zięby i sikorki. Wtedy poeta powziął plan, żeby rzeźby Wowry stały się zaczątkiem przyszłego muzeum ziemi wadowickiej. Odtąd Wowro rzeźbił przeważnie dla „Świątkarni". Wykonywał zamówienia na winiety, a figurki do „Lampki oliwnej" — były również jego dziełem (zabrane przez Niemców). Wowro był oryginalnym w pomysłach, a niektóre kompozycje zadziwiają myślą w sobie zawartą. I tak Adama w raju przedstawił z łopatą. Z jednej strony wyjście poza szablon, z drugiej przecież Wowro nie znał rozmów Goethego z Eckermanem, nie znał życzenia poety, a jednak analogia uderzająca. Oto słowianin, analfabeta na równi z geniuszem niemieckim głęboko przemyślał sprawę wygnanego na zawsze z raju i w sprawach ziemi stanął z nim na równi. (Adam z łopatą zabrany przez Niemców).

Drugą osobliwą rzeźbą jest figurka „Chrystusa w Ogrójcu' — odszablonowana, bo Chrystus stoi w długiej granatowej szacie ze sznurem na szyi zwisającym ku ziemi. W twarzy wyraz zadumy, nie boleści, ale raczej oburzenia.



A „Frasobliwy'! Ileż uroku zawiera taka większa czy mniejsza figurka — bo wyrzeźbił ich sporo. Siedzi sobie Chrystus, wsparł głowę na ręku i duma, żeby nie ta cierniowa korona — to przecież wizerunek małorolnego. Ciało takie spracowane, chude, stopy ciemniejsze, wiadomo: taki chadza na bosaka — siedzi — i duma o swej chłopskiej doli. Może to sam Wowro? Wszak życia nie miał łatwego — miłego i ciepłego. Zwyczajna chłopska dola, aż najzwyczajniejsza.

TRAGEDIA CZŁOWIEKA I ARTYSTY

On sam spoczywa na wadowickim cmentarzu, grób ma ładny, obmurowany, tablica. Postarała się o to dyrektorka gimnazjum wadowickiego Zofia Szybalska, podobnie jak Zegadłowicz, wielka wielbicielka jego talentu, Szybalska wystarała się również o pensję dla wdowy po artyście. Pensję tę otrzymywała wdowa do wybuchu wojny.

Obecnie staruszka licząca 76 lat, na pół ogłuchła, trzęsąca się ludzka kruszynka, nie ma żadnego zaopatrzenia, żyje na łasce rodziny. Może wnet umrze, a może jeszcze pożyje — któż wie? Twardy jest chłopski żywot.

— Nikt się o mnie nie pytał — mówi do mnie — nikt mi nic nie dał, pani dyrektorka nie żyje (dyrektorka Szybalska zginęła tragicznie w 1945 r. przy zdobywaniu Borku Falenckiego, raniona odłamkiem granatu upadła na jezdnię i czołg ją przejechał). Połykam gorzki posmak słów i myślę ze wstydem: gdzież są związki artystów chłopskich?

Syn Jan, który miał dziedziczyć dłuto, (pozostała po nim Szopka, jest w Świątkarni), wywieziony na roboty do Niemiec, w powrotnej drodze został zamordowany w maju ub. roku. Córka wyjechała na Zachód, zabrała matkę ze sobą. Lecz Wowrowa mówi do mnie:

— Kazali mi pasać kozy, a Niemcy przychodzili do ogrodu kraść jarzyny, tom się bała i kazała tu przywieźć.

Z dzieł artysty w obrabowanej Świątkarni pozostały resztki zaledwie i one teraz mają wraz z resztkami dzieł Zegadłowicza tworzyć projektowane muzeum. Najciekawszym eksponatem jest świecznik w kształcie „świata' na górnej kondygnacji ptaszki, na dolnej anioły lecące. Te resztki to pomnik wysiłku artystycznego Wowry.

Smutny jest widok obrabowanej przez barbarzyńców Świątkarni.

Żałosny jest obraz opuszczonej żony artysty.

Czy o dzieła Wowry nie powinniśmy się upomnieć?

Władysław Leszczyński

Głos w dyskusji

»Trzy grosze« obserwatora

Znany z superentuzjazmu i dobrych reportaży o zachodzie **Józef Bieniek wystąpił** w 34 numerze „Wsi" z wielkim szumem i zadzierżystością przeciwko charakterowi i tematyce twórczości J. Pogana. Poruszył mianowicie ni mniej, ni więcej sprawę taką: Dlaczego Józef Pogan pozwala sobie na oddawanie prawdy o wsi polskiej, na przedstawianie i opisywanie jej stron ciemnych, złych, pijackich, rozpustnych. Bieniek przyznaje — wieś taką jest, ale dlaczego Pogan o tym na litość Boską pisze? Bo jakże to Boże zachowaj wywrze wrażenie, co sobie też o tej nieszczęśliwej wsi ludzie z miasta pomyślą?

Bieniek występuje tu w roli „troskliwego ojca, który boi się, aby o jego nieznośnym, aroganckim synu prawdy nie opowiadano. To jest nie przedstawiano go takim, jakim jest w rzeczywistości. Na stałe niemal notoryczne wady chłopca przesłania oczy a wyszukuje skrzętnie te momenty, które przypadkowo stawiają go w dodatnim świetle.

Oczywiście, że i mnie o to nie chodzi, aby wieś przedstawiać z uporem i konsekwencją jako naturalny wprost teren krzepkich i gorących wzajemnych poklepywań baby z chłopem lub pijackich czy zbójnickich turniejów młodej awangardy ale o to czy pisarz pisząc w ten sposób wykracza przeciw czemukolwiek (np. przeciwko dobru własnej warstwy lub prawdziwemu obrazowi wsi polskiej i czy czytelnik ma prawo w kategoryczny sposób żądać zmiany nurtu twórczości pisarza).

Mówiąc o tym ostatnim, nie chcę tu zjeżdżać na zagadnienie swobody artysty. Ale czy pisarz piszący i specjalizujący się bodaj kilkadziesiąt lat w rodzaju zbliżonym do obrazków obyczajowych, co widocznie najbardziej odpowiada charakterowi jego talentu, może nagle ze względu na potrzebę czytelnika czy całego nawet zastępu wiciarzy i działaczy chłopskich przeszkształcić się na sztandarowego, społecznego prowodyra wojującej o pełnię kulturalną wsi, choćby najbardziej szczerej i ideowej i mocno tego pragnącej, młodzieży chłopskiej. Trudno mi przypuścić, aby 50-letni pisarz rzucił nagle w kąt swoje dotychczasowe nawyki i upodobania literackie a zaczął z powodzeniem maczać pióro w dydaktyce i bojowej publicystyce. Przypominacie sobie zresztą, że Pogan zajmował się w swoich nowelach problematyką społeczną. Coś z tego gatunku drukowane było we „Wsi".

Oczywiście, w dyskusji tej jest Pogan wypadkiem szczególnym, bo Bieniek żądanie swoje wysyła hurtownie pod adresem całej piszącej wsi. Bieniek stawia tu zresztą poprostu znane od paru lat i z przekonaniem lansowane — zamówienie społeczne. Nie chcę już zastanawiać się nad praktyczną możliwością realizacji zamówienia społecznego, nad wrażliwością jego artystycznego zmaterializowania na papierze, co jest przecież przede wszystkim zależne od harmonii i współdźwięku żądań społecznych a postawy i przekonań wewnętrznych pisarza, lecz chciałbym poruszyć jedną sprawę, która wydaje mi się istotniejszą i zasadniczą.

Bieniek stawia kwestię w ten sposób, że wyłania się dla mnie przynajmniej — pytanie: czym właściwie jest literatura w pojęciu Bieńka? Czy jedną z dziedzin artystycznej działalności człowieka, rządzącej się przede wszystkim prawami estetyki czy też jedną z form, bardzo ważnych i owocnych walki o ciągły postęp społeczny i kulturalny świata. Czy literatura jest dziedziną, do której wprawdzie czynnik społeczny wtrącać się może, ale najczęściej nie wywołuje to realnych i trwałych konsekwencji czy też zadaniem literatury jej posłannictweem i najistotniejszym celem jest wychowywanie człowieka, budowanie nowego świata i tylko literatura pedagogiczna i dydaktyczna ma rację bytu. W razie takiego postawienia kwestii sprawa jest jasna — literatura sprowadza się do doniosłej wprawdzie i szanowanej ale tylko **funkcji** w polityce społecznej i kulturalnej państwa.

Chciałem jeszcze poruszyć sprawę t. zw. niemoralności i w konsekwencji złych skutków sprowadzanych na wieś obrazkami, przedstawiającymi świat chłopski przy szynkwasie lub na pachnącym snopku w stodole. Oburzenie Bieńka przypomina mi oburzenie jakie wywołało ukazanie się „Zmór" Zegadłowicza. Było to według opinii kół klerykalnych prawdziwe dzieło z poduszczenia szatana, sprowadzić miało nieprawdopodobną demoralizację na młodzież a przede wszystkim fałszowało obraz pobożny, rozmodlonej, świętej, skromnej prowincji polskiej.

Teraz i wówczas wiedzieliśmy, że jest to dzieło wysokiej miary artystycznej i nawskroś oryginalnego talentu Zegadłowicza a o jego demoralizującym rzekomo, zatruwającym oddziaływaniu nikt chyba na serio nie mówi. Dla mnie książka ta poza prawdziwym przeżyciem artystycznym miała wielką wartość uświadamiającą. Zdemaskowała fałsz, małość, świństwo i potworną, cuchnącą podłość małomiasteczkowej społeczności. I do miasta mnie bynajmniej nie zrażała, zbudziła właśnie wolę i przekonanie o bezwzględnej konieczności przemiany tego śmierdzącego miejskiego bajora.

Dlatego nie mogę brać za złe Poganowi, że w jego opisach wsi występują puszczające się wyrgulichy i chłopi „trawiący" bimber. Uczciwość pisarska zobowiązuje go chyba do przedstawiania wsi takiej, jaką jest. Widocznie w środowisku Pogana ten element przeważał i takie zjawiska były najpowszechniejsze. Wieś, którą znam z 6-letniej autopsji również mi się inaczej nie przedstawia, a znam wsi kilka i dobrze. Wieś Pogana jest wiernym obrazem wsi w pewnym okresie jej historycznego rozwoju i odtwarzanie jej ściśle zapisują tylko na konto „ma" Pogana.

Obawa Bieńka, aby nowele Pogana nie pozostawiały „złego" wrażenia na snobie czy nie snobie miejskim jest chyba zbędna, gdyż cały szereg książek, przedstawiających głęboką niemoralność środowiska miejskiego nie wytworzył miastu monopolu na Sodomę i Gomorę. Uważam też, że dokonywujące się w związku z reformami społecznymi przetarasowanie różnych warstw społecznych i bliższe, wzajemne kontakty pozwolą człowiekowi z miasta zapoznać się z wsią i jego mieszkańcem zupełnie dokładnie i wytworzyć własny, nieskażony obraz tego środowiska.

Uderzyła mnie jeszcze czułość Bieńka na punkcie t. zw. wyrgulich. Nawskroś idealna i nieziemsko podniosła postawa Bieńka neguje rolę czynnika erotyczne jako jednego z podstawowych i kierujących w życiu człowieka. Wątpię, aby nawet najofiarniejsza praca Bieńka i jego wiciarzy wybiła z głowy pełnej temperamentu płci żeńskiej jej ochotę do biologicznego traktowania dni życia. Wróżę, że, po oby jak najdłuższym życiu Bieńka, wyrgulichy dalej będą tematem w literaturze i tylko ilość ich zredukuje się może do tej, jaką dziś zajmują w twórczości chłopskiej ofiarni siewcy nowego społeczeństwa.

Bieniek stawia sprawę typowo dla działacza społecznego, który chce podporządkować wszystko rytmowi określonej działalności społecznej. W swoich końcowych hasłach przypomina zresztą zupełnie Wiktora, który tego rodzaju inwokacjami zapełnił całe „Ożywcze Krynice".

Uważam, że pisarze bez względu na wysuwane postulaty dalej się będą dzielili na mniej lub więcej „uspołecznionych" a typ postulowany przez Bieńka wyjdzie chyba z młodej generacji, która wzrastać będzie właśnie w takiej atmosferze nasilonych zadań społecznych.

BEZ RODZICÓW

Henryka Chmielewska

Napisałam swoje życie nie z własnej chęci, ale na zaproszenie i dlatego zdaje mi się,, że tego, co najważniejsze, nie objęłam swoimi przypomnieniami. Mam takie przekonanie, że najważniejsze sprawy pozostały gdzieć na dnie pamięci i wydobyć je mogłabym dopiero stamtąd o jakiejś cichej porze, wieczorem, kiedy mnie nikt nie obserwuje, niczego ode mnie nie chce — jestem zupełnie spokojna i zadowolona.

Zresztą na pewno mi się tylko tak wydaje.

Pochodzę ze wsi z powiatu sieradzkiego. W Łodzi pracuję już lat 8. Jak do tego doszło,, jakim sposobem się tutaj oparłam, postaram się opowiedzieć.

WIADOMOŚCI O SOBIE

Urodziłam się w roku 1918. Rodzice moi byli drobnymi rolnikami — mieli około 10 morgów ziemi. Wioska leżała od małego parafialnego miasteczka dwanaście kilometrów i od powiatowego nie wiele mniej. Naokoło było dużo lasów i wieś nasza była jakby za lasami, za górami.

W trzecim miesiącu mojego życia umarła mi matka na grypę. Chorobę tę wtedy nazywali „hiszpanka". Leżała na nią kilka dni i już przychodziła do siebie, ale zachorował również mój ojciec, więc matka zwlokła się z łóżka, ażeby ojca wyręczyć w napaseniu gęsi, bo były głodne. Ponieważ nie mogła słuchać ich grania z głodu, więc zaryzykowała wstanie. Był to ponury listopadowy dzień, zimny, mglisty, czasem przelatywały drobne deszcze. Matka przeziębiła ową „hiszpankę" i w trzy dni była gotowa.

Umarła tylko w obecności męża, bo jej matka a moja babka mieszkała o kilka kilometrów i nic nie wiedziała o tej chorobie. Wszystko to poszło bardzo szybko.

Długo, długo potem — opowiadała mi babcia już dorosłej — dowiedziałam się, że o tej godzinie, o czwartej po południu, babcia wtedy prała i zupełnie wyraźnie usłyszała jak gdyby półgłośny szept zza pieca: „Mamo!". Głos ten był zupełnie podobny do głosu mojej mamy. O tej porze po południu umarła właśnie matka.

Tak dużo o tym piszę, ponieważ matkę moją znam tylko z fotografii, do której poszła drugi raz w życiu. Stoją oboje z ojcem ubrani odświętnie na papierze. Matka patrzy na mnie niewidzącymi oczami.

Nieraz się tym wzruszam, bo odeszła ode mnie, kiedy byłam jeszcze małym pomarszczonym niemowlęciem. A dziś ja już mam więcej lat niż ona w chwili śmierci. I ani ona mnie, ani ja jej takiej żywej i prawdziwej nie zobaczę już nigdy. Nic jednak na to nie poradzę.

Źródłem wiadomości o mnie samej są moje dziadki.

U DZIADKÓW

Ojciec mój został się ze mną malutką i z całym gospodarstwem. Ale moi dziadkowie — rodzice mojej matki — to byli ludzie wyrobieni życiowo: wiedzieli, że warunki życia mojego dwudziestodwuletniego ojca nie będą bardzo sprzyjały wychowywaniu mnie. Dla ojca zaczną się inne sprawy, inne zainteresowania, inne ciekawe strony życia, a ja zejdę na ostatni plan. Więc kiedy raz ojciec wybrał się do nich za skangą, że nie może sobie dać rady, jakoś wkrótce po pogrzebie — dziadkowie wyrazili swoją wolę zabrania mnie. Ojciec się zgodził i ja niemowlę przemierzyłam odległość od domu ojca do domu babki — siedem kilometrów.— obabuchana w poduchę i naokryta chustką.

Babcia biorąc mnie na wychowanie miała już lat pięćdziesiąt jeden.

Wkrótce ojciec mój podbuntowany przez swoich rodziców, że ten, kto ma dziecko, ma prawo zabrać po matce jej wyposażenie, dał się użyć za narzędzie i chciał mnie odebrać. Dziadkowie jednak się nie zgodzili i doszło do sądu. Sędzia miał do rozstrzygnięcia: czy dać dziecko ojcu czy dziadkom. Przysądził je — dziadkom. I tak to tłumaczył ojcu.

— Pan jest młody. Musi się pan ożenić drugi raz, bo pan potrzebuje żony, a gospodarstwo gospodyni. Córka pana będzie miała macochę. Ona będzie miała swoje dzieci. Nie każda macocha, mając swoje dzieci i dzieci pierwszej żony, jest dla tych drugich dobra...

Zostałam u dziadków — ojciec się na nich pogniewał i nie odwiedził ich kilka lat, chociaż ja tu byłam, jego córka, i nie było znów tak bardzo daleko. Poza tym ojciec istotnie w pół roku się ożenił.

Sprawdzało się powoli to wszystko, co rozsądni ludzie z góry przewidywali. Pochłonęło go co innego.

WYCHOWANIE

Wychowywali mnie dziadkowie na mleku krowim, na sieradzkiej papce (tak się nazywa koszka manna gotowana na mleku) — na bułce mlecznej w mleku i jakoś się wychowywałam do tych lat, kiedy mogłam jeść już to, co jadali wszyscy ludzie dorośli w tych stronach i co się zazwyczaj na wsi je: kartofle z barszczem, kartofle z polewką, kapustę, kaszę.

Jakby mi chcieli wynagrodzić brak matki i prawie ojca, dziadkowie byli dla mnie bardzo dobrzy. Nie karali mnie zbyt dotkliwie, nie prześladowali. Pasłam gęsi, kiedy już do tego byłam zdolna, pasłam krowy. Te swoje obowiązki sprawowałam zawsze chętnie, rzadko kiedy nie podobało mi się to.

Tak samo byli dla mnie dobrzy bracia i siostry mojej matki, bo tu rodzina była spora. Z tego czasu pamiętam jedno zdarzenie. Brat matki był w szkole i przyjechał na wakacje. Nikogo w domu nie było, oprócz mnie. Miałam wtedy może dwa lata. Wujek obejrzał moje włosy, a miałam długie białe warkocze, i musiałam coś mieć w głowie, co mu się nie podobało, bo mi od razu ściął włosy do samej skóry. Zrobił ze mnie chłopaka. Boże kochany! Kiedy babcia przyszła z pola i zobaczyła moją gołą głowę — dopiero było krzyku! — dopiero było wrzawy i narzekania!

A wujek tłumaczył się tym tylko, że dziecko powinno mieć jak najkrótsze włosy, żeby piasek, który mu wpadnie we włosy, można było łatwo wymyć, bo w długich trzyma się bardziej.

W SZKOLE

Kiedy skończyłam lat siedem dziadkowie oddali mnie do szkoły. Bardzo tego pilnowali, żebym się uczyła. Sami sztukę czytania posiadali oboje. Dziadek nauczył się czytać podczas wędrówek po miastach za czasów swojej młodości — i pisać też, babcia tylko umiała czytać i nauczyła się tego od swojej matki, która była córką rządcy, a wyszła bez woli rodziców za rzemieślnika. Pisać babcia nie umiała.

Szkoła w naszej wsi była tylko pięcioklasowa, to znaczy było w niej dwoje nauczycieli. Chodziłam tu siedem lat. Nauczyciele byli małżeństwem. Byli to młodzi ludzie, traktowali nas dobrze, uczyli wielu rzeczy. Tu się dowiedziałam, że świat jest wielki i nie ogranicza się tylko do naszych okolic. Wszędzie są ludzie, mają swoje sprawy, swoje kłopoty, swoje właściwości.

Do szkoły nie trzeba było mnie napędzać. I sama chciałam i dziadkowie o to dbali tak, że ani razu nie tylko nie byli karani, ale nawet z gminy nie dostali ostrzeżenia. Z innymi dziećmi bywało zupełnie inaczej. Trzeba było rodziców karać pieniężnie, więc kiedy wójt karę ściągnął, to potem rodzice mieli pretensję do nauczyciela i narzekali, że jest zły i chłopa prześladuje. Czytałam też sporo książek. Przeczytałam całą bibliotekę szkolną i jeszcze te książki, które znalazłam przypadkowo. W ten sposób zeszło mi siedem lat nauki bardzo prędko.

Kiedy otrzymałam po ukończeniu lat czternastu świadectwo szkolne w czerwcu 1932 roku i przeczytałam w nim napis: „świadectwo ukończenia szkoły", to z powodu tego „ukończenia" rozpłakałam się, jakbym coś bardzo drogiego utraciła.

Ale to się nie dało odwrócić i szkołę musiałam opuścić.

DO LUDZI I W ŚWIAT

Po ukończeniu szkoły siedziałam przez rok w domu pasąc dziadka krowy lub chodząc do ludzi na zarobek. Te pieniądze, które otrzymywałam za pracę u ludzi, to były sumy obracane przeze mnie na moje własne potrzeby. Mogłam sobie kupić jakąś sukienkę, wstążkę, czy inną błyskotkę.

W roku 1934 sytuacja nasza domowa zmieniła się gruntownie. W tym roku wujek mój ożenił się, dziadkowie oddali ziemię nowemu gospodarzowi — moja osoba w alimentach nie była przewidziana. Stałam się istotą niepotrzebną, nawet — zawadzającą. Zawsze komuś przeszkadzałam, a przeszkadza się przecież temu, kto wchodzi w nowy dom na specjalnych prawach nowej gospodyni.

Czułam to sama, że w tych warunkach, jakie się wytworzyły, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko usunąć się gdzieś dalej między ludzi. Tego samego zdania byli dziadkowie, o tym myśleli, na to czekali, choć nie powiedzieli mi .ego wyraźnie.

W całym domu wyczuwałam tę atmosferrę, że już jestem zbyteczną, że mogą się beze mnie obejść, że liczą tylko dni, kiedy mój pobyt się tu skończy i wyjdę, ażeby zarobić na samą siebie. I nie być od nikogo zależną. O tym myślałam i łamałam się, ale wyjść tak na zawsze?...

Ogromnie byłam do swojej wsi przywiązana.

U LUDZI

Nie będę szczegółowo opisywać wszystkich swoich miejsc pracy i domów. Gdzie ja miałam iść dziewczyna szesnastoletnia wówczas? Czego szukać? Z naszych stron wszyscy ludzie, którzy chcą znaleźć pracę ciągną do Łodzi: i młodzież męska i żeńska, bezrolna i małorolna, i służba folwarczna, rzucająca dobrodziejstwo służby dworskiej, i chłopi wyzbyci swojej gospodarki. Tu się każdy gdzieś przyczepi, coś znajdzie, utrzyma. I dopiero jeśli nie napotka lepszego życia niż miał — wraca.

Poszłam i ja do Łodzi. Oparcie miałam w znajomych, koleżankach, dalekiej rodzinie nawet. U tych, którzy się już tu zadomowili i Łódź traktowali, jako swoje drugie miejsce rodzinne. Ci, którzy przyjeżdżali tylko od czasu do czasu na wieś w kapeluszach i miejskich paltach, tu siedzieli jako zwykli ludzie pracy i wysiłku.

Byłam na wsi zupełnie surowym człowiekiem. Nic nie umiałam, więc tu w mieście Łodzi podejmowałam się tych prac, które wykonuje cała masa dziewczynek w moim wieku — poszłam na służbę do ludzi obcych. Byłam niańką, pracownicą domową, pracownicą ogrodową i na tych obowiązkach przeszło mi kilka lat życia.

Wojna zastała mnie na służbie u Niemca, fabrykanta łódzkiego. Byli to ludzie starsi, bardzo bogaci, stosunkowo nawet dobrzy dla mnie. Oni mnie uchronili przed wywózką na roboty do Niemiec, ich się trzymałam celowo, bo stanowili dla mnie ochronę.

Z czasu swojej wędrówki po obcych domach to tylko zauważyłam, że najgorsze dla swoich służących są te gospodynie, które się dorobiły majątku i przez ten swój majątek czują się ogromnymi paniami. Dla takich dziewczyna służąca jest istotą bez znaczenia. Nią, można gardzić, nią można pomiatać, bo to tylko służąca. A ona jest tylko panią, bo ona ma majątek.

Najgorszą, najdokuczliwszą dla mnie była żona właściciela ogrodu w Chełmach pod Zgierzem, niejaka Moraczewska. Był to prawdziwy pies w ludzkim ciele. Według niej ja wszystko kradłam, wszystko zjadałam, wszystko psułam, byłam najgorsza, najostatniejsza. Nie dawała mi jeść, nie płaciła mi i nie chciała mnie puścić, bo mi nie chciała oddać mojej książeczki. Ani tak — ani tak.

Byłam nieraz taka głodna, że jadłam gole kartofle ugotowane dla jej psa. Mówię o tym zupełnie szczerze, bo chcę oddać moje życie takim jakie było. U tej pani przesłużyłam zaledwie około miesiąca.

MÓJ OJCIEC

Wychowałam się zupełnie bez rodziców. Dla mnie nie istnieje sprawa matki, sprawa ojca. Nie czułam żadnych tęsknot, żadnego związku krwi, żadnego braku matczynych pieszczot czy matczynego ciepła. Dla mnie wszystkim byli dziadkowie. Oni się mną opiekowali, oni mi dawali jeść, oni o mnie mieli starane. Ich pamiętam, do nich tęskniłam, oni widocznie zastąpili mi brakujących rodziców.

Te szczegóły z własnego życia, szczegóły o mojej rodzinie opowiadała mi babcia w zimie podczas długich wieczorów, kiedy darłyśmy pierze, albo reperowały podartą bieliznę. Dziś moja babcia i dziadek w grobie już od kilku lat i ja zostałam sama na świecie...

Nie — nie sama. Jest przecież ojciec. Ale ja wiem, że ten ojciec jest, ale tego wcale nie odczuwam. Tak jakbym go wcale nie miała. Odważę się nawet powiedzieć, że gdyby mi w jakikolwiek sposób zniknął, nie odczuwałabym wcale braku jakiegokolwiek.

Ożenił się — jak już wspomniałam — drugi raz. Ma pięcioro dzieci: synów, córki. Wszystko to już dorosło, zabrało pewne miejsce koło siebie, one mu zajmują czas, doświadczają jego opieki i starań. Ja tak jakbym dla niego nie istniała. Zdaje się, że się darzymy jednakowym uczuciem wzajemności. Ale myślę, że po mojej stronie jest mniejsza wina. Kiedy ja byłam dzieckiem, on był już mężczyzną dorosłym.

Pierwszy raz zobaczyłam swojego ojca kiedy szłam ze szkoły, więc miałam już przeszło siedem lat. Był w kuźni, ostrzył siekierę i dał mi dwa złote, za które kupiła mi babcia fartuszek.

Bardzo się wtedy wstydziłam — jakby to był obcy człowiek.

Odwiedziłam ojpca w jego domu, w domu śmierci matki dopiero wtedy, kiedy miałam czternaście lat i zrozumiałam, co to znaczy wypada kogoś odwiedzić.

W CZASIE WOJNY

Wojna zastała mnie na służbie u Niemców. U nich przepracowałam przez lat pięć: od roku 1938 do roku 1944 do lipca. Służba u nich ochroniła mnie od wyjazdu na roboty do Niemiec.Już o tym wspominałam.

Byli to starzy fabrykanci łódzcy. Mieli tu w tym mieście odlewnię żelaza. Do majątku doszli własną pracą od rozpoczęcego kiedyś przed laty niewielkiego warsztatu ślusarskiego. Urodzili się w Łodzi ale tryb życia jaki wiedli i otoczenie w jakim się znajdowali musiało być niemieckie. Jeśli język polski znali bardzo słabo i okropnie go kaleczyli. Najulubieńszym zdaniem starego do mnie, kiedy był niezadowolony, było powiedzenie: „Co ty na tyn swój łeb nakładować?". A to znaczyło po polsku: co ty tam masz w swojej głowie?

Mieli swój dom, bogato mieszkali, dzieci wykształcili w niemieckich szkołach. Czuli się Niemcami. Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich zapisali się na volksdeutschów.

Nieraz przychodziło mi do głowy, dlaczego to tak jest, że ja Polka jestem taka słaba i bezbronna, a oni obcy i wrogowie mają i dom i majątek i wykształcenie. Nie mogłam sobie na to odpowiedzieć.

W lipcu 1944 roku podczas przybliżania się frontu wschodniego moi pracodawcy uciekli do Niemiec, zabrawszy z sobą wszystko co wartościowsze oprócz mebli. Zostałam sama i wtedy władze niemieckie wyznaczyły mnie na okopy, bo wtedy wszystkich ludzi młodych zabierali w różne miejsca do budowania umocnień. Nie chciałam tego zrobić, więc uciekłam z domu i kryłam się przez cały czas aż do przyjścia wojsk sowieckich i polskich.

Ukrywałam się po wsiach w okolicach Łodzi w majątku Rogi pod Łagiewnikami, korzystając zuprzejmości zupełnie obcych ludzi. W ten sposób ukryłam się i uratowałam przed wywózką na okopy.

Cały czas wojny i okupacji przebyłam w Łodzi. Poznałam właściwe cechy niemieckiego postępowania z narodem polskim. Oddzielne były tramwaje dla Polaków, wisiały tabliczki zabraniające Polakom wstępować do kin, do sklepów pewnych, do cukierni. Kościoły były zamknięte. Ludzie musieli się kłaniać na ulicy niemieckiemu oficerowi, musieli ustępować z chodnika. Bardzo dawali się we znaki mali chłopcy z Hitlerjugend. Nie wolno nam było kupować owoców, pomidorów, bułek, jajek. Ale jakoś przetrzymaliśmy i doczekaliśmy się zmiany.

Rodzinę moją prawie wszystką Niemcy wysiedlili. Część z niej była spalona i zrujnowana. Część musiała iść do Niemiec na roboty, gdzie się dopiero wyzwoliła po zakończeniu działań wojennych.

Tylko ojciec mój przesiedlony w inne miejsce otrzymał więcej ziemi i lepszej i stosunkowo jeszcze na tym wyszedł dobrze.

ŁÓDŹ I WIEŚ

W tej części powiatu sieradzkiego, gdzie była i jedna i druga moja rodzina, Niemcy założyli wielki poligon. Pokasowali całe wsie, wysiedlili ludność wszystką. Część wywieźli do Niemiec, część zaś ulokowali w innych miejscach — najczęściej po dworach, z których porobili majątki państwowe, tak zwane ligenszafty.

Podwórka chłopskich zagród porosły po roku chwastami, drogi zalazły, domy się poobalały, część została porozbierana. Te wsie stały jak wymarłe przez kilka lat. Nikogo tu nie było, tylko na tych polach odbywały się ćwiczenia armii niemieckiej. Tu się ćwiczyły czołgi, tu strzelała artyleria, manewrowała piechota. Ruch był duży — wojsko.

Po skończeniu wojny już na wiosnę roku 1945, gdzieś w marcu czy kwietniu ludzie zaczęli powracać na te swoje zrujnowane gospodarstwa. Jeden miał tylko dom, ale bez okien, bez drzwi, bez podłogi i posoby*). Innemu została tylko opustoszała stodoła albo obórka. Cała ludność znalazła się w wielkiej biedzie. Pola były zachwaszczone i zarośnięte borem: olszyną i brzezicą.

Żeby się trochę podreperować ludzie zaczęli kraść drzewo z pobliskiego boru który przed tym należał do dworu, a teraz jest upaństwowiony. Kradli też jeden drugiego. Kto był obrotniejszy, to okradał powolniejszego. W ten sposób ludzie się ratują. Najgorzej ma ten uczciwy: ziemia mu nie wyda, bo nie obrobiona, ukraść nie pójdzie, a ta pomoc, o której piszą w gazetach, to jest tylko w gazetach.

Ja tu w Łodzi jestem tylko zwykłą szwaczką. Źle mieszkam, pracuję dużo, a wynagrodzenie otrzymuję tylko takie, że z wielką biedą wiążę koniec z końcem. Ale gdy pojadę do mojej rodziny mieszkającej tam w tych pustkach na poligonie, gdzie nawet nie ma drzew owocowych, to mi się zdaje, że jestem bardzo bogata.

Od czasu do czasu co mogę to im pomagam, bo nie mogę patrzeć na te obdarte dzieci, na te wychudzone twarze. Mała jest to pomoc, może dla nich nie ma wielkiego znaczenia, ale ona we mnie uspokaja ten wyrzut, że ci ludzie są tam jakby zapomniani i niepotrzebni, bo nikt się nimi nie interesuje.

W Łodzi dzisiaj nie ma rozkoszy, biedy też nie brakuje, ale zdaje mi się, że największa bieda tutaj jest bogactwem wobec tych opuszczonych stron. Łódź mogłaby dużo pomóc tamtym ludziom, gdyby tylko chciała to zrobić i szczerze zrobić.

---

*) Tak się nazywa w gwarze sieradzkiej pułap w mieszkaniu.

Kazimierz Sosnowski

Pamiątki Kościuszkowskie

Artykulik Kazimierza Sosnowskiego stanowi nie tylko ciekawy, bo szczegółowy przyczynek do dziejów insurekcji kościuszkowskiej, nie tylko jest też wyrazem kultu tej najpiękniejszej postaci naszych dziejów, ale przede wszystkim ma wartość jako umiejscowienie postaci Naczelnika na tle dokładnej topografii chłopskiej; jest to jakby wyliczenie wszystkich wiejskich punktów sławy, przetłumaczenie często powtarzanego, ogólnikowego hasła o „siermiężności, ludowości, chłopskości Kościuszki" —na szczegółowy język codziennego, okolicznego bytowania wiejskiego, uświetniającego drogę sławy ludowego Wodza.

Red.

Przygotowania i pierwsze działania wojenne powstania Kościuszkowskiego w 1794 roku odbyły się w Krakowie i jego bliskiej okolicy. Skutkiem tego we wsiach podkrakowskich zachowała się żywa pamięć o chłopskim wodzu, wiele wspomnień, podań i pamiątek,, otaczanych czcią i poważaniem, a świadczących o kulcie szlachetnego obrońcy uciśnionych.

W jesieni 1793 r. przybył Kościuszko z zagranicy do Podgórza, celem skontrolowania i posunięcia naprzód przygotowań powstańczych. Dla porozumienia się z generałem Józefem Wodzickim, dowódcą garnizonu Krakowskiego, zjechał się z nim koło Tyńca, a ludność w przysiołku **Koło Tynieckie** dotąd pamięta i wskazuje miejsce, w którym stał dom pamiętny noclegiem Wodza. Władze austriackie poczęły śledzić wojskowego przybysza, to też pod przybranym nazwiskiem musiał się usunąć na pewien czas z Podgórza i udał się na teren powiatu Bocheńskiego i Tarnowskiego. W ostatnim przebywał w dworku Wojciechowskich w **Żabawie,** w pierwszym u generałowej Dębickiej we wsi **Wiatowice** koło Gdowa. Niezawodnie odwiedził on wtedy przedhistoryczny kopiec, kryjący według podania szczątki brata księcia Krakusa, w sąsiednich **Krakuszowicach.** Ludność tej wsi opowiada z dumą zwiedzającym kopiec, iż to u nich w nieistniejącym już dawno dworze ułożył sobie Kościuszko cały plan przyszłej kampanii powstańczej.

W **Prądniku Białym,** dziś już dzielnicy Krakowa, utrzymuje się prawdopodobna, choć przez historyków nie potwierdzona tradycja, iż po przysiędze na Rynku Krakowskim, w tamtejszym starym pobliskim dworze z 16 w. stał kwaterą Naczelnik sił zbrojnych narodu i z niego dn. 1 kwietnia 1794 r. wyruszył na czele regularnego wojska po zwycięstwo Racławickie. W ogrodzie dworskim dotąd stoi olbrzymi klon z pniem na pięć odnóg się dzielącym, **drzewem Kościuszki** zwany, pod którym wódz miał odbierać raporty i wydawać rozkazy.

W Pleszowie za Mogiłą przez długie lata istniała **wierzba Kościuszki.** Piękna legenda związana z tym drzewem, a świadczęca o przywiązaniu do wodza, brzmi w opowiadaniu następująco: „Przed wielu laty, kiedy się wojny o Polskę prowadziły, nazbierała się we wierzbinie gęstej chmara wojska a sam Kościuszko siadł sobie pod jedną dla spoczynku i posilał się. Inne wierzby z latami poschły, a ta Kościuszki była zawsze bujniejsza. Ludzie o nią dbali, a kiedy przeprowadzono gościniec, nie dali jej ściąć, aż inżynierowie musieli drogę ukośnie prowadzić". W 1875 r. drzewo zaczęło schnąć, nadniszczone przez burze, to też na jego miejscu posadzono nowe.

W dalszym marszu pod Racławice wkroczyła armia już w powiat Miechowski i w dniach 2 i 3-go kwietnia zatrzymała się na postój w Luborzycy i w Koniuszy. Pograniczna **Luborzyca,** znana ze starożytnego, pięknie na wzgórzu przez biskupa Iwona Odrowąża wzniesionego w 13 wieku Kościoła, a więc rówieśnika Krakowskiej Mariackiej świątyni, wyznaczona była jako miejsce zborne dla drobniejszych oddziałów regularnego wojska, które się tutaj punktualnie stawiły. Połączone siły z 12 działami przeniosły nieco cyfrę 4000 żołnierza, które wódz naczelny sformował, odbył ich przegląd i ruszył dalej. Ludność Luborzycka utrzymuje żywo tradycję tego dnia pamiątkowego, wskazuje z dumą miejsce chaty, w której zaszczytny gość nocował i we wszystkich uroczystościach Kościuszkowskich, przybrana w barwne stroje krakowskie, bierze tłumny udział.

Koniusza, najpiękniej i najwyżej w ziemi Miechowskiej, położona wioska, leży w pobliżu Proszowic i Rzędowic, a niespełna dwie mile od Racławic. Na samym cyplu góry stoi w wieńcu lip kościół i plebania, w której gościł Kościuszko. Tu spełniły się jego marzenia o wciągnięciu ochotników chłopskich w szeregi ojczyzny. Komisarze ludowi, Jan i Andrzej Ślascy, doprowadzili do Koniuszy około 2000 „dymnego rekruta", t. j. chłopów zbrojnych w kosy i piki. Był między nimi Głowacki i Świstacki, ci właśnie, co wespół z tym ochotniczym wojskiem zdecydowali jutrzejsze zwycięstwo. Złączywszy rezularne wojsko z kosynierami, stanął wódz w lasku koniuszańskim pod dębem przy drodze w dolinę rzeczki Szreniawy i dokonał przeglądu swej już sześciotysięcznej armii, by ją stąd nocą powieść wprost na pole chwały. W Koniuszy stał się Kościuszko rzeczywistym chłopskim wodzem.

Jako pamiątkę jego pobytu pokazują tu dotąd kamienny, popękany i taśmą metalową spojony stół w plebańskim ogrodzie, przy którym on zasiadał, a pod **dębem Kościuszki** w owym lasku odbywają się stale wszelkie uroczystości wioskowe.

Po Racławickim zwycięstwie nie udał się Naczelnik w pościg za nieprzyjacielem, bo armia jego była jeszcze za słaba i wymagała przećwiczenia i zdyscyplinowania. Cofnął się tedy pod sam Kraków do małej wioseczki **Bosutów** nad Dłubnią i tu rozłożył **obóz warowny** na dni 18, t. j. od 6 do 24 kwietnia 1794 r. Umysł jego rozgorzał chęcią wzniecenia ogólnej wojny narodowej o wolność, któraby zespoliła wszystkie warstwy narodu do wspólnego wysiłku, ofiarności i poświęcenia. Obóz otoczył wałami i redutami, ustawił na nich własne i zdobyczne działa, ćwiczył pilnie armię, która tu wzrosła do 8000 wyszkolonego i karnego żołnierza, a z kosynierów sformował batalion grenadierów krakowskich, w którym B. Głowaacki piastował rangę oficerską. Prócz tego czynił daremne zabiegi dyplomatyczne o neutralność Prus i Austrii, układał plany dalszej kampanii, pisał manifesty o organizacji władz i nowym ustroju społecznym, znoszącym krzywdę chłopską. Obóz w Bosutowie odegrał dużą rolę w dziejach Kościuszkowskiej insurekcji. A jednak poszedł w zapomnienie. Dworek, w którym wódz stał kwaterą, został rozebrany, trzy dęby w ogrodzie, pod którymi dumał i pisywał manifesty zostały ścięte, mogiła zmarłych z ran żołnierzy i kosynierów oraz okopy zaorane, pomnik pamiątkowy, postawiony na miejscu dębów w setną rocznicę Racławic— niedokończony i bez napisu. Nie ponosi w tym winy ludność Bosutowa, bo stało się to wszystko wbrew jej woli, a obecnie domaga się możliwego przywrócenia pamiątek i przypomnienia społeczeństwu swej wioski w roku Kościuszkowskim; opowiada też sobie jeszcze stare dzieje z tych czasów, jak to na licznych wozach przywieziono rannych z pod Racławic, jak ich umieszczano po chatach, jak w studniach brakło wody dla wojska — i inne szczegóły. Zniknął także i sam stary Bosutów, bo „dla otwarcia obstrzału" zburzyli go Austriacy podczas pierwszej wojny światowej, a jego miejsce zajął Bosutów nowoczesny.

Po zwinięciu warownego obozu puścił się Kościuszko ze swą armią w ziemię Sandomierską, by ożywić wzmagający się tam ruch powstańczy. Na pierwszym postoju w **Igołomii** nad Wisłą dopadł go dn. 25 kwietnia pułk. Sokolnicki z radosną wieścią, że przed tygodniem wojsko i bohaterski lud warszawski pod wodzą szewca Jana Kilińskiego oswobodził Warszawę od wroga. Szalona radość zapanowała w obozie, śpiewano pieśni, ściskano się, wiwatowano, wódz zarządził dziękczynne nabożeństwo w igołomskim kościele i paradę wojskową. Demokratyczna idea Naczelnika odniosła tryumf, a nazwiska szlachcica Kościuszki, chłopa Głowackiego i rzemieślnika Kilińskiego stały się oznaką zjednoczenia wszystkich warstw narodu. Armia powstańcza opuszczała ziemię Krakowską z widokami świetnego powodzenia, lecz dalsze wypadki w ziemi Kieleckiej i Warszawskiej nie ziściły niestety tej nadziei.

Roman Bratny

Uwagi o inteligencji *)

Charakterystycznym oporem w przyjęciu tego artykułu będzie świadomość niesprecyzowania socjalnego inteligencji jako warstwy, jej zamazany profil klasowy. Moment ów występujący zawsze przy analizie tej specyficznej formacji społecznej komplikują jeszcze w Polsce momenty specjalne. Stereotypy klasowego poglądu na społeczeństwo mówiąc o zasadniczej linii podziału, pomijają milczeniem inteligencję, nie borąc jej pod uwagę — może nie przez lekceważenie, lecz przez niemożność wyznaczenia jej miejsca po którejś stronie barykady, na której walczy proletariat z kapitalizmem.

Ta klasyczna wg materializmu dziejowego wyznaczająca historię linia podziału, jest wielkim uproszczeniem fałszującym samą rzeczywistość pomijaniem klasycznego fundamentu socjalnego i gospodarczego jaki stanowi nasza wieś. Tym niemniej zakładając, że w wieku cywilizacji przemysłowej decydujące siły społeczne formują się w mieście, że na dłuższą metę linia walki proletariatu i chłopa będzie się pokrywać — to uproszczenie jest i dla nas w sensie roboczym — prawdziwe.

Czemu na żadnej stronie barykady nie ma inteligencji? Zasadniczo inteligencja pozostaje w kręgu klasy władającej — tak determinują ją momenty gospodarcze. One to sprawiają, że część inteligencji fachowej wynagradzana dobrze, służy wiernie kapitałowi. Ten stosunek sojuszu z kapitałem, z burżuazją, potęguje wspólnota kulturalno-cywilizacyjna która — nawet w tej części warstwy inteligenckiej, dla której wspólnota gospodarcza nie istnieje wobec jej upośledzenia — powoduje stagnację i trwanie w obrębie wpływów klasy panującej. Po tej linii działa dodatkowo snobizm. Czy to nie wystarcza, by określić ostatecznie już postawę inteligencji w walce klas? Nie. Co za siły przeciwdziałają wymienionym pobieżnie, lecz bardzo chyba zasadniczym determinantom?

Nie zapominajmy, że inteligencja socjologicznie należy do proletariatu, jako „zarabiająca przez sprzedaż swej pracy".

Ponadto poza czynnikami obiektywnymi pozostają psychologiczne: inteligent jest nawet dziś intelektualnie przekonany o bezpotrzebie kosztowności, a właściwie o zbrodniczości kapitalizmu. Inteligent jest patriotyczny, stąd też daje sobie wytłumaczyć państwowy walor ustroju antykapitalistycznego.

Grube podkreślenie wykazuje całą niemożność ostatecznego określenia postawy inteligencji wobec walki klas.

W Polsce sytuację komplikuje tragikomiczny atawizm społeczno-polityczny. Tak się dzieje, że inteligencja, warstwa par excellance miejska związana z rozwojem urbanistycznej cywilizacji przemysłowej wiąże się u nas politycznie najchętniej z endecją. Endecja mająca swą bazę społeczną w ziemiaństwie — braterstwo z inteligencją w prostej linii z rodzica szlacheckiego — endecja więc wyznaczyła en masse linię polityczną inteligencji. Tak realizuje się paradoks — w walce klas inteligencja o ile zajmuje jakieś stanowisko to holowana na front walki przez stronnictwo polityczne reprezentujące interesy stanowe ziemiaństwa.

Przez to w polityce istotny interes klasy inteligenckiej jest fałszywie reprezentowany. Można wprawdzie mówić, że większość masy inteligenckiej aktywnej politycznie angażuje się po linii endecji, ale nie wyznacza to stanowiska klasy, której druga znaczna część zaagażowana jest w socjalizm spod znaku PPS — typowo inteligenckiej partii. Właściwa inteligentowi postawa pochylenia nad społeczną krzywdą znajduje tu sobie upust polityczny.

Inteligent jest w polityce inspirowany nie przez jednolity interes klasowy, a przez sentyment czy to tradycji czy serca. Stąd właściwa dla polskich socjalistów inteligenckich postawa sentymentalnego socjalizmu pojmowanego w swoiście absurdalnej wegetacyjnej formie jako postulat sprawiedliwego podziału dóbr konsumcyjnych. Zapomina się o przeciwstawnych temu elementach produkcjonizmu i organizacji właściwych socjalizmowi głębiej pojętemu. Stąd też — z tradycyjnych sentymentów — wywodzące się bliskie i żywe do niedawna stosunki z endecją, nasza inteligencja starsza (czytaj — poszlachecka, czy poziemiańska) więzy ze środowiskiem rodzinnym utrzymała i stąd wspomniany już anachroniczny paradoks polityczny — inteligencja, warstwa nawskroś miejska, orientowała się w polityce stronnictwa związanego ściśle z interesami stanowymi ziemiaństwa, a więc warstwy nieurbanistycznej.

Wynika stąd jasno, że inteligencja nie ma poczucia klasowego co utrudnia jej masowe zajęcie miejsca po którejś stronie barykady praca — kapitał. Inteligencja wyposażona w sumienie społeczne z jednej — więzy obyczajowo-gospodarcze z kapitalizmem z drugiej strony — waha się, hamletyzuje w obliczu walki klas.

Te wszystkie momenty decydują w rezultacie o przewadze solidarystycznych ugodowych tendencji w masie inteligenckiej. Do dziś pozostaje inteligencja warstwą izolującą, zaciemniającą przejrzystość układu społecznego, warstwą na której najłatwiej znajdowała pożywkę zamaskowana, faszystowska nawet w konsekwencjach, blaga solidaryzmu społecznego.. Jednak inteligencja nie poparła u nas opartego przecież na doktrynalnym solidaryźmie faszyzmu. Stawiła mu nawet pewien opór. Pewien tradycyjny kult demokracji robił swoje. Chciałoby się aż upatrywać w tym echa pamięci o „demokracji" szlacheckiej, a pewne jest że pogłębiały ten kompleks czasy walk o narodowe wyzwolenie zawsze związane z erą liberalizmu w Europie. Pogłębiła to dodatkowo tradycyjna walka endecji z sanacją, walka toczona w imię liberalizmu politycznego i „demokracji".

Stąd to u nas wiele trudności miał faszyzm z sympatycznym stereotypem „Demokracja". Ma je zresztą i dziś mimo pewnych uprzedzeń, które spotyka się w tej warstwie wobec nowego ładu.

Natomiast nie spotkałby oporu w nowej warstwie półinteligenckiego drobnomieszczaństwa, które jednak do wojny nie stanowiło tak istotnego czynnika jakim się stało, gdy drobnomieszczanin zalał otwartą mordami na Żydach przestrzeń społeczno-gospodarczą. Ta maź socjalna, niesprecyzowana, mętna warstwa dziedzicząca całą nieokreśloność i pasożytnictwo drobnopośrednicze Żydostwa stanowi cudowną dla faszyzmu pożywkę. Ta warstwa jednak nie mieści się w ramach tego szkicu.

Przemiany wojny i pierwszego roku wolności wnoszą zresztą sporo nowych elementów również do układu stosunków wewnętrznych „klasycznej" inteligencji. Metoda rekrutacji inteligencji zdradza tendencję do zmian. Nie będzie już długo trwał stan, gdy pochodzenie z warstw ludowych i związany z tym zły start społeczny mógł być przekroczony jedynie przez niezwykle wybitne jednostki, gdy cenzus wykształcenia był niemal dziedziczny — gdy więc inteligencja jako warstwa dziedziczyła wszystkie tradycyjne obciążenia światopoglądowe, o których mówiliśmy.

Nowa oparta mocno o wieś inteligencja ma być fachową czołówką warstw pracujących w ich walce o nową rzeczywistość społeczną. Inteligencja nie będzie stać na froncie walki klas — będzie klasą walczącą na froncie pracy.

*) W szkicu tym mówimy o inteligencji jako warstwie genetycznie poszlacheckiej. Oczywiście dzisiejsza inteligencja w znacznej mierze rekrutuje się z innych warstw — poza szlacheckich, ale pierwotnie tak nie było, a sprawująca w spadku po szlachetczyźnie dyktaturę kulturalną — inteligencja — zdołała sterroryzować i urobić całą kulturę, stylem życia, sztuką, nową rekrucką inteligencję wiejską, aż do zatracenia jej możliwej odrębności i oryginalności. Podtatusiała kultura szlachecka tworzyła atmosferę kulturalną, w której wychowywał się młody inteligent wiejski. Nic dziwnego, że choć się jej poddawał (snobizm) to w istocie ją lekceważył. (Jeszcze jeden przyczynek do socjologii procesu spychania zagadnień kulturalnych z centralnego pola świadomości narodu).

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Dobraczyński — **W rozwalonym domu,** stron 256, Sp. Wyd. „Czytelnik" 1946.

K. Zilliacus — **Między dwiema wojnami,** stron 123, Sp. Wyd. „Czytelnik" 1946.

Roza Bauminger — **Przy pikrynie i trytolu,** Kraków 1946.

Boje w Hiszpanii — nakładem Związku Dąbrowszczaków, Warszawa 1946.

Natan Eliasz Szternfinkiel — **Zagłada Żydów Sosnowca,** Katowice 1946.

Józef Kermisz — **Powstanie w getcie warszawskim,** Łódź 1946.

Gerszon Taffet — **Zagłada Żydów żółkiewskich,** Łódź 1946.

Andrzej Mering — **Jak przetwarzać owoce i warzywa na potrzeby własne** — Biblioteka Samopomocy Chłopskiej, Warszawa 1946.

Z. Dubiska — **Gospodarski chów kur** — Biblioteka Samopomocy Chłopskiej, Warszawa 1946.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „W i e ś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII–1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—09646